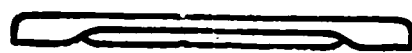
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

JĘDRZEJ ŚNIADECKI.



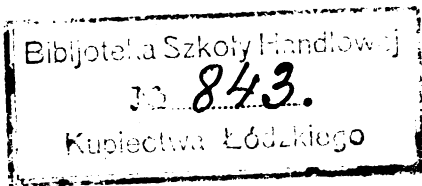
PISMA SATYRYCZNE

DO DRUKU PRZYGOTOWAŁ
I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ
Dr ADAM WRZOSEK.

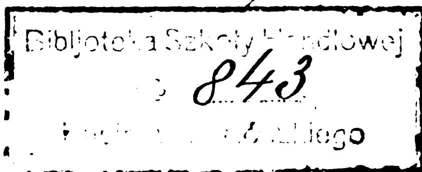


CZĘŚĆ I.





WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1908.



Od wydawcy.

Najważniejszym bezsprzecznie zadaniem wydawcy jest wierne wydrukowanie tekstu pisma, które wydaje. Wydawca powinien nietylko dbać o to, aby myśli autora, którego pisma wydaje, były niezmienione, lecz także o to, aby forma, w której autor myśli swoje wyraził, nie uległa zmianom i poprawkom dowolnym, które często, niestety, są poprostu skażeniem utworu autora. Wydawcy wolno zmieniać tylko pisownię dawną, na współczesną, jeżeli, naturalnie, nie chodzi o wydanie zabytku językowego; lecz nie wolno mu czynić żadnych zmian językowych.—W najszczęśliwszym położeniu znajduje się wydawca, który ma w swoich rękach rękopism, według którego druk odbywa się pod jego dozorem. W daleko gorszym położeniu jest wydawca, nie mający rękopismu autora do swego rozporządzenia, lecz zmuszony wydawane przez siebie pisma przedrukowywać z jednego z poprzednich

wydań. W takim właśnie położeniu znajduje się wydawca pism satyrycznych Jędrzeja Śniadeckiego. Rękopismów pism rzeczonych nigdzie znaleźć nie mogłem. Być może uległy one zniszczeniu. W „Bibliotece Jagiellońskiej“ znalazłem tylko mały, własnoręcznego rękopismu Jędrzeja Śniadeckiego urywek jednego artykułu, w „Wiadomościach Brukowych“ drukowanego. Nie pozostawało przeto nic innego, jak przedrukować pisma satyryczne Śniadeckiego z jednego z istniejących wydań, to jest albo z „Wiadomości Brukowych“, albo z wydania tych pism przez Balińskiego, który pisma rzeczone, wedle wszelkiego do prawdy podobieństwa, wydał nie z rękopismu, lecz przedrukował z „Wiadomości Brukowych“.

Niniejsze wydanie artykułów satyrycznych Śniadeckiego zostało przedrukowane nie z „Wiadomości Brukowych“, lecz z wydania Balińskiego, a to z następujących dwuch powodów. Po pierwsze, trudnoby było otrzymać zkądkolwiek egzemplarz „Wiadomości Brukowych“, z którego możnaby robić przedruk, nie troszcząc się o uszkodzenia, jakiemu uledz może w drukarni w czasie przedrukowywania zeń. Powtóre, przedrukowując z „Wiadomości Brukowych“ pisma satyryczne Śniadeckiego i zecer i korektor mieliby sporą pracę w zmienianiu pisowni ówczesnej na współczesną, zwłaszcza w ustawicznem zamienianiu na *j* liter *i* oraz *y*.

Z tych względów postanowiono dokonać przedruku z wydania Balińskiego, jako posiadającego pisownię bardziej do współczesnej zbliżoną, aniżeli pisownia, w „Wiadomościach Brukowych“ używana.

Atoli i z nabyciem ezgzemplarza pism satyrycznych Śniadeckiego w wydaniu Balińskiego nie mała zachodziła trudność. Dopiero po kilkumiesięcznych poszukiwaniach w antykwarniach w Warszawie, Lwowie i Krakowie, udało się wreszcie redaktorowi „Biblioteki Dzieł Wyborowych“ dostać jeden egzemplarz wspomnianych pism Śniadeckiego.

Tekst tego egzemplarza porównałem z pierwodrukiem w „Wiadomościach Brukowych“. Z porównania tego wynikło, iż wydanie Balińskiego tyle braków posiada, iż na miano krytycznego żadną miarą nie zasługuje. Baliński poprawił wprawdzie niektóre, nieliczne zresztą, błędy zecerskie, znajdujące się w „Wiadomościach Brukowych“, inne natomiast błędy zecerskie, które się tam spotykają, w wydaniu Balińskiego zostały powtórzone, co przemawia za tem, że Baliński pisma satyryczne Śniadeckiego z „Wiadomości Brukowych“ przedrukował. Lecz, co gorsza, w wydaniu Balińskiego znajduje się na 533 stronniczkach przeszło pół tysiąca błędów przeważnie zecerskich, których całkiem niema w „Wiadomościach Brukowych“. Błędy rzeczone polegają nietylko na zamianie pojedynczych liter, ale na częstych opuszczeniach oddzielnych wyrazów, zdań, a nawet całych ustępów, co przyczyniło się do zeszpecenia w wielu miejscach tekstu. Tak np. zamiast wyrazu *kapotę* w wydaniu Balińskiego znajdujemy wyraz *łopatę*, zamiast *pewni — panami*, zamiast *wypadnie—wygodnie*, zamiast *nigdzie—wszędzie*, zamiast *kaslnął—klasnął* i t. p.

Dalej w wydaniu Balińskiego brak niektórych przypisków autora, które niewiadomo dlaczego zo-

stały opuszczone. Natomiast sam wydawca Baliński ograniczył się do zrobienia jednego jedynego przypisku.

W kilku miejscach Baliński „sprostował“ nawet język autora, „poprawiając“ wyraz *obwaliły* na *wywróciły, przywdziawszy* na *nasunąwszy* i t. p. Wreszcie do usterek wydania Balińskiego zaliczyć można dowolne nadawanie tytułów niektórym artykułom Śniadeckiego bez zaznaczenia, że tytuły te pochodzą od wydawcy, a nie od autora.

Prócz braków wymienionych, wydanie Balińskiego posiada inne jeszcze, z pewnością od wydawcy niezależne, lecz najprawdopodobniej przez ówczesną cenzurę warszawską spowodowane. Mianowicie w wydaniu Balińskiego niektóre wyrazy, jak np. *ojczyzna, rewolucya, konstytucya, liberaliści* zostały albo zamienione na inne, lub też całkiem opuszczone; a więc zamiast *w ojczyznie* wydrukowano *w kraju*, zamiast *rewolucye krajowe* — *różne wypadki*, zamiast *urzędnicy* — *panowie*, zamiast *konstytucya—ustawy* i t. p.; wyrazy zaś *liberalność* i *liberaliści* zostały zupełnie usunięte i żadnymi innymi nie zastąpione.

Wszystkie te błędy i „poprawki“ zostały w egzemplarzu wydania Balińskiego, z którego dokonano niniejszego przedruku, poprawione. Prócz tego wydanie niniejsze różni się tem jeszcze od wydania Balińskiego, że artykuły satyryczne Śniadeckiego zostały w wydaniu teraźniejszym przedrukowane, o ile możności, w porządku chronologicznym, w jakim były w „Wiadomościach Brukowych“ drukowane.

Będąc przeświadczony, że nie objaśnienia, lecz wierne wydanie tekstu jest najważniejszym zadaniem wydawcy, o to się przedewszystkiem starałem, mniej dbając o komentarze w formie przypisków. Komentarzy zresztą pisma satyryczne Śniadeckiego wymagaja niewielu. Czytelnik powinien tylko pamiętać, że Śniadecki pisał swe artykuły, mając na względzie przedewszystkiem stosunki, panujące wówczas w Wilnie i na Litwie; że wiele z często powtarzających się nazw takich, jak Antokol, ulica Rudnicka, Hrybiszki, Niemieża i t. p. są nazwami bądź to ulic lub przedmieść Wilna, bądź to okolic tego miasta.

Ograniczyłem się do kilkudziesięciu krótkich przypisków. Przypiski autora nie oznaczone są żadnemi inicyałami, przypiski zaś moje stale oznaczałem literami *P. W.* (przpisek wydawcy).

Ponieważ, ze względów odemnie całkiem niezależnych, korekty niniejszego wydania robić nie mogłem, przeto za wszelkie błędy zecerskie odpowiedzialności brać na siebie nie mogę.

Przedmowa do pism satyrycznych Jędrzeja Śniadeckiego.

Wolnomularstwo w Polsce.—Towarzystwo Szubrawców.—Śniadecki przewodniczącym w Towarzystwie Szubrawców.—Artykuły Śniadeckiego w „Wiadomościach Brukowych".

Ogarnia nas smutek głęboki, gdy przebiegamy oczyma karty Pamiętników Kitowicza. Zepsucie obyczajów, prywata, bezprzestanne sejmów zrywanie, osobliwie za panowania Augusta III— oto przygnębiający obraz czasów, w których żył Kitowicz i pamiętniki swoje spisywał. Potężne niegdyś państwo polskie chyliło się szybko do upadku. Lecz i wtedy nie brakło ludzi, którzy, chcąc złemu zaradzić, starali się podnieść poziom moralności w narodzie. To dążenie do naprawy obyczajów stworzyło i w Polsce grunt podatny, na którym zaczęły się krzewić związki wolnych mularzy czyli masonów.

Związki wolnomularskie powstały u nas za pa-

nowania Augusta III [1]) i przetrwały nietylko do rozbiorów Rzeczypospolitej, lecz owszem i później rozwijały się znakomicie. Nie mało przyczyniało się do rozpowszechniania się u nas wolnomularstwa poparcie, udzielane masonom przez arystokracyę naszą i ludzi, wybitne stanowiska zajmujących. Mniszchowie, Potoccy, Ogińscy stali się wyznawcami haseł wolnomularskich. — Po ostatecznym zorganizowaniu wolnomularstwa polskiego w r. 1784, wielkim mistrzem był najpierw generał Jędrzej Mokronowski, a później Szczęsny Potocki i Kazimierz Nestor Sapieha.

Gdy wstąpił na tron rosyjski Aleksander I, w części Polski, berłu rosyjskiemu podległej, zaczyna się żywszy ruch wolnomularski. W Królestwie Kongresowym, gorliwym wolnomularstwa zwolennikiem był minister oświecenia publicznego, Stanisław Kostka Potocki, mąż na polu szkolnictwa narodowego wielce zasłużony. Do lóż wolnomularskich w Warszawie i Wilnie, należeli Brodzińscy, Baliński i inni wybitni ludzie, a między nimi ponoś i Śniadeccy, jak utrzymuje Hordyński [2]) w swej monografii, „Towarzystwu Szubrawców" poświęconej.

Działalność wolnomularzy miała bezsprzecznie wiele cech dodatnich. Dążąc do „dostąpienia mądrości i doskonalenia się w cnocie", zwalczali oni przesądy, skrzętnie unikając wdawania się w spory religijne i sprawy polityczne. W życiu praktycznym

---

[1]) W. Grabieński. Dzieje narodu polskiego. Kraków 1898. część II. st. 79.

[2]) Przewodnik naukowy i literacki. 1882 T. X. str. 830.

urzeczywistniali swe ideały, zakładając instytucye dobroczynne lub powszechnego pożytku, takie jak przytułki dla starców i ubogich, zakłady bezpłatnego szczepienia ospy, tanie jadłodajnie i t. p.

Pod wpływem wolnomularstwa powstały u nas rozmaite towarzystwa dobroczynne i poprawę obyczajów na celu mające, a między innymi towarzystwa Filomatów, Filaretów i Szubrawców. Ci ostatni zawiązali się w towarzystwo w roku 1817 i zaczęli wydawać swój organ „Wiadomości Brukowe", które co tydzień wychodziły. Zaczęły one wprawdzie wychodzić już w r. 1816, a więc przed zawiązaniem się Towarzystwa Szubrawców, lecz z chwilą założenia się tego towarzystwa stały się jego urzędowym organem. O celach Towarzystwa Szubrawców, w którym sądzono było Jędrzejowi Śniadeckiemu odegrać później wybitną rolę, najlepiej możemy się dowiedzieć z ustawy Towarzystwa, wydanej pod napisem: „Kodeks Szubrawski, zawierający prawidła, wedle których odbywają obowiązki szubrawcowie w szczególności i całe Towarzystwo Szubrawskie w ogóle". Zainteresowanie się ogółu towarzystwem Szubrawców było duże. Świadczą o tym liczne przedruki mów szubrawskich i kodeksu szubrawskiego: w „Tygodniku Wileńskim" [1]), w „Dzienniku Wileńskim", w Pamiętniku Warszawskim, w Pamiętniku Lwowskim i wydanie kodeksu w oddzielnej książeczce. Kodeks został ułożony w r. 1817, a w dwa lata później dopełniony. Składa się on z kilkunastu pra-

---

[1]) T. VII. 1819 r. Z tego wydania kodeksu przytaczam wyjątki, zmieniwszy pisownię na współczesną.

widel, z których pierwsze, a zarazem najważniejsze, dokładnie cele towarzystwa określające, brzmi: „Zamiarem towarzystwa jest, nie mając na celu żadnych szczególnych osób, wyświecać szpetność tych przywar i nałogów, które, z natury swojej nie mogąc być prawem powściąganemi, są jednak dla społeczności bardzo szkodliwe, a u nas zdawna pospolite i co gorsza, że w powszechniejszym mniemaniu, za występki i wady najczęściej nie są poczytywane". Do spełniania wymienionych zamiarów służyć miały „Wiadomości Brukowe". Każdy Szubrawiec obowiązany był przynieść co dwadzieścia dni na schadzkę „pismo na ćwiartkę przynajmniej druku", do „Wiadomości Brukowych" przeznaczone. Pismo to mogło być napisane przez Szubrawca, który je na schadzkę przyniósł, lub też przez kogo innego. Artykuł przyniesiony odczytywano i gdy większość zebranych Szubrawców uznała go za odpowiedni, oddawano go do druku. W zakres „Wiadomości Brukowych" wchodziły nie tylko artykuły treści satyrycznej, lecz także artykuły, mające na celu „uwielbianie cnotliwych czynów dla zbudowania innych, aby tylko pisane były w stylu lekkim i zabawnym, czyli szubrawskim". Wszystkie artykuły drukowane były bezimiennie, a Szubrawcy zobowiązali się słowem honoru nikomu postronnemu nie wyjawiać nazwisk autorów, piszących do „Wiadomości Brukowych", „a nawet i w ogólności nie rozgadywać ani o członkach towarzystwa, ani o traktowanych na jego schadzkach materyach". Było zatym towarzystwo Szubrawców co do składu swych członków tajnym.

Redaktor „Wiadomości Brukowych" obierany

był na rok jeden, tak jak i inni urzędnicy towarzystwa, a mianowicie Prezydent, Mówca, Strażnik porządkowy i Sekretarz. Redaktor obowiązany był wydawać regularnie „Wiadomości Brukowe“ na swój zysk i stratę, bacząc pilnie na to, aby w drukowanych artykułach nie było błędów ani gramatycznych, ani zecerskich, oraz żeby się nie trafiały grube pomyłki z historyi, geografii i mitologii. Za takowe błędy i pomyłki nakładane były na redaktora rozmaite kary: wymówka, zapisanie wymówki w protokóle, a nawet kary pieniężne. Kara pieniężna, wynosząca kopiejkę za błąd zecerski, a pięć kopiejek za błąd gramatyczny, historyczny, geograficzny lub mitologiczny, wymierzona była tylko wtedy, gdy się na to zgodziło przynajmniej dwie trzecie obecnych na zebraniu członków oraz gdy prezydent i fundator uznali winę redaktora. Pieniądze, pochodzące z kar nakładanych na redaktora, przeznaczano na szpitale.

Towarzystwo Szubrawców składało się z dwojakiego rodzaju członków: tak zwanych miejskich (urbani) i wiejskich (rusticani). Liczba urbanów ograniczona była do czterdziestu. Obowiązani oni byli dostarczać przynajmniej co dwadzieścia dni artykuł do „Wiadomości Brukowych“ i uczęszczać regularnie na schadzki, które się co tydzień odbywały. Kto opuścił trzy z rzędu posiedzenia, nie usprawiedliwszy swojej nieobecności, kto w ciągu trzech tygodni nie dostarczył ani jednego artykułu do „Wiadomości Brukowych“ i kto wogóle nie trzymał się w postępowaniu swoim prawideł kodeksu szubrawskiego,

tego z liczby miejskich członków towarzystwa wykreślono.

Rustykani dzielili się na dwa oddziały: na rustykanów pierwszego i drugiego rzędu. Rustykani pierwszego rzędu obierani byli tak, jak urbani, to jest jednomyślnością przez głosowanie tajne. Odpowiadali oni członkom honorowym w innych towarzystwach. Aby zostać rustykanem pierwszego rzędu trzeba było odznaczyć się „w zawodzie literackim lub sztuk pięknych, przez wydane na świat dzieła". Rustykani pierwszego rzędu nie byli obowiązani do dostarczania artykułów. Natomiast rustykanie drugiego rządu, większością głosów wybierani, obowiązani byli dostarczyć dla „Wiadomości Brukowych" przynajmniej jeden artykuł miesięcznie. W przeciwieństwie do urbanów i rustykanów pierwszego rzędu nie nadawano im imion z mitologii litewskiej w czasie przyjmowania ich do Towarzystwa. Rustykanie drugiego rzędu na posiedzeniach Towarzystwa nie mieli prawa bywać.

Wyborom i wprowadzaniu na posiedzenie nowoobranego członka towarzyszyły rozliczne obrządki, w czasie których wygłaszano zazwyczaj wierszowane mowy. Nowoobrany członek, zaręczywszy słowem honoru, że będzie się stosował do prawideł kodeksu, podawał rękę wszystkim obecnym na schadzce Szubrawcom, zaczynając od prezydenta „na znak przyjaźni i rzetelności".

Urbani, którzy stanowili Towarzystwo Szubrawców w ściślejszem znaczeniu, wybierali z pośród siebie urzędników: prezydenta, zastępcę prezydenta czyli namiestnika, mówcę i jego zastępcę, strażnika

porządkowego i jego zastępcę, sekretarza i redaktora. Obowiązki urzędników były ściśle kodeksem określone. O obowiązkach redaktora była już mowa. Sekretarz prowadził księgę sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa. Mówca wyręczał „prezydenta w czytaniu i mówieniu w tych wszystkich przypadkach", w których przez niego był do tego wezwanym; dbał o to, aby postępowano na „schadzkach" według kodeksu; utrzymywał listę kolejnego czytania prac szubrawskich i przewodniczył w komitecie redakcyjnym. Strażnik porządkowy doglądał, „ażeby na schadzce każdy pilnował swojego miejsca i nie odzywał się bezprawnie i bez pozwolenia prezydenta". Prezydent przewodniczył na zebraniach i wyznaczał miejsce ich i czas. Gdy się Szubrawcy zebrali, prezydent dzwonkiem dawał znać, iż się zebranie zaczyna; siadał i głowę nakrywał, poczem toż samo wszyscy zebrani czynili.

Przez cały czas zebrania wszyscy z nakrytemi głowami siedzieli. Na znak zakończenia schadzki prezydent dzwonił i głowę odkrywał.

Prócz urzędników byli w Towarzystwie Szubrawców dygnitarze czyli dostojnicy. Tytuły dostojnicze nadawały się „na dowód szczególniejszych względów towarzystwa". Dostojnicy nie mieli żadnych szczególnych obowiązków i przywilejów, wyjąwszy jednego tylko dostojnika, mianowicie fundatora, „którego pierwiastkowe wsparcie i dalsze dopomaganie, najskuteczniej przyczyniło się do utrwalenia „Wiadomości Brukowych" i towarzystwa szubrawskiego". Gdyby Towarzystwo fundatora z jakichbądź powodów utraciło, kodeks nakazywał starać się

o innego na jego miejsce. Fundator, prócz innych przywilejów, miał i ten, że na posiedzeniach zasiadał obok prezydenta lub gdzie mu się podobało, inni natomiast Szubrawcy musieli siedzieć na miejscach, przez prezydenta wyznaczonych. W sali posiedzeń Towarzystwa znajdował się przed mównicą „stół, dywanem po staropolsku pokryty, a na stole— gąsior wody z napisem *aqua fontis*, szklanka oraz dzieła geograficzne i historyczne". Niezbędną na każdej schadzce była także łopata, którą dzierżył strażnik. Na łopacie znajdował się napis: tacere qui nescit, nescit loqui, (kto nie umie milczeć, nie potrafi mówić). Każdego, kto odzywał się bez pozwolenia prezydenta, ostrzegał strażnik stukaniem po podłodze łopatą.

Ustawy Towarzystwa Szubrawców, ceremonje uroczyste podczas wprowadzania nowych członków na posiedzenie, zwyczaj odbywania posiedzeń z nakrytą głową, żywo przypominają obrzędy związku wolnomularzy, który niezawodnie posłużył na wzór Szubrawcom [1]).

Zachodzi także pewne podobieństwo między Szubrawcami a Promienistemi. Szubrawcy mieli dwojakiego rodzaju obowiązki. Jedne, mające na celu uskutecznienie prac Towarzystwa i o tych już była mowa. Drugie—„ściągające się do utrzymania dostojności szubrawskiej". Aby dostojność szubrawską utrzymać należycie, powinien szubrawiec być „człowiekiem słusznym i oświeconym", służącym za wzór

---

[1]) Hordyński. Towarzystwo Szubrawców. Przewodnik naukowy i literacki 1882 r. T. X. str. 927.

dla innych. Kodeks szubrawski nie ogranicza się tą ogólnikową uwagą, owszem podaje praktyczne przepisy, w jaki sposób należy utrzymywać dostojność szubrawską. A więc Szubrawiec, utrzymujący dostojność swą, przestrzega następujących prawideł:

1. „Pilnie i przykładnie wypełnia obowiązki swojego stanu i powołania, nie zaniedbując bynajmniej tych robót, z których żyje; i te zawsze poczytując za pierwsze przed wszystkiemi innemi, w liczbie których, to jest tych innych, liczą się i szubrawskie, tak dalece, że na nie tyle tylko łoży czasu, ile mu zostaje swobodnego od pierwszych.

2. Nie używa napojów mocnych, aż do utraty sił i przytomności, drugich do tego nie zniewala i od takich kompanii unika.

3. W żadną grę nigdy nie gra dla wygrania, a gdyby niechętnie w nią został wciągnięty, w ten czas, jeśli przegra, tej straty przez grę nie odzyskuje: jeżeliby zaś cokolwiek wygrał, wszystko najbliższemu szpitalowi oddać powinien, tak, ażeby pieniądze wygrane nie zostawały u niego nad godzin dwadzieścia cztery.

4. Dla dostarczenia potrzebnej strawy dla duszy, jako istotniejszej części człowieka, Szubrawiec ciągle, przez całe życie powinien czytać przynajmniej jednę gazetę polityczną i jednę literacką: kiedy wystarczy majątek, mieć je własne, a w przeciwnym przypadku, upewnić sobie stateczną zręczność i miejsce czytania cudzych.

5. Dla tegoż celu jedną przynajmniej jeszcze przez się nie czytaną, co miesiąc przeczytać książkę, najmniej od dziesięciu arkuszy.

6. Mieć własnych ksiąg przynajmniej dziesięć, a w ich liczbie choć najkrótsze, ale koniecznie zupełne nauki, geografii i historii powszechnej.

7. Jednym przynajmniej dziełem zbiór swoich ksiąg corocznie pomnażać".

Jak z powyższych prawideł z całą oczywistością wynika, Szubrawcy postanowili nie tylko innym wady wytykać, lecz i samym dążyć do udoskonalenia się, zarówno moralnego, jak i umysłowego. Podobnie do własnego udoskonalenia się dążyli i Promieniści, których Towarzystwo powstało w r. 1820, lecz rychło potym, bo w tymże jeszcze roku zostało przez władzę uniwersytecką rozwiązane. Promieniści wyrzekali się pijatyki, poprzestając na czystej wodzie i mleku. Potępiali gry hazardowne i rozpustę. Zobowiązali się pracować [1]. Słowem, zamierzali, tak jak Szubrawcy, służyć dla innych za wzór do naśladowania.

Niedziw, iż między ustawami Towarzystwa Szubrawców a Promienistych zachodziło podobieństwo, gdyż zapewne i jedno i drugie Towarzystwo powstały pod wpływem związku wolnych mularzy.

Towarzystwo Szubrawców odegrało dużą rolę; miało ono bowiem znaczny wpływ na ówczesne społeczeństwo polskie. „Wiadomości Brukowe" cieszyły się wielkim powodzeniem, mimo że nie wszystkie umieszczane tam artykuły były oryginalne, część albowiem ich była wzorowana na artykułach słyn-

---

[1]) M. Mochnacki. Powstanie narodu polskiego w r. 1830 i 1831. Poznań 1863. T. I. str. 222.

nego czasopisma moralnego „The Spectator", które zaczęło było w Anglii wychodzić na początku XVIII stulecia. Niektóre artykuły, w „Wiadomościach Brukowych" drukowane, były wprost tłumaczone ze „Spectatora", lub przynajmniej zawierały ustępy z czasopisma tego zaczerpnięte [1]). Olbrzymia jednak większość artykułów w „Wiadomościach Brukowych" umieszczonych, była całkiem oryginalnie napisana i nie bez talentu pisarskiego. Powodzenie „Wiadomości Brukowych" łatwo zrozumiemy, zważywszy, że do organu Szubrawców pisywali ludzie wybitni, utalentowani, znający wybornie wady swego społeczeństwa i umiejący je karcić w sposób żartobliwy. Do Towarzystwa Szubrawców między innymi należeli: Leon Borowski, znakomity profesor wymowy i poezyi w uniwersytecie Wileńskim, piastujący w Towarzystwie Szubrawców urząd mówcy, współpracownik „Wiadomości Brukowych", noszący miano Pergrubiusa, bożka wiosny; Michał Baliński, znany historyk, jeden z najgorliwszych współpracowników „Wiadomości Brukowych", piastujący w Towarzystwie urząd strażnika porządkowego; poeta Ignacy Szydłowski, nauczyciel wymowy i poezyi najpierw w gimnazyum świsłockim, a później wileńskim, pisujący często „ody szubrawskie", pełniący urząd zastępcy mówcy czyli witajnika drugiego stopnia; doktór medycyny Jakób Szymkiewicz, autor kilku dzieł medycznych, pierwszy prezydent Towarzystwa Szubrawców; Kazimierz Kontrym, zało-

---

[1]) Z. Hordyński. „Towarzystwo Szubrawców", Przewodn. nauk i lit., 1882. T. X, str. 1078.

życiel Towarzystwa, redaktor „Dziennika Wileńskiego"; poeta, Antoni Gorecki; doktór Konstanty Porcyanko, profesor chirurgii w uniwersytecie Wileńskim; Zacharyasz Niemczewski w tymże uniwersytecie matematyki wyższej profesor; Franciszek Grzymała, późniejszy wydawca kilku czasopism, powieściopisarz Jan Chodźko; znany autor „Pamiętników Kwestarza" Ignacy Chodźko; Józef Baliński; Wawrzyniec Puttkamer; Mikołaj Mianowski [1]), profesor położnictwa w uniwersytecie Wileńskim i inni. — W tak dobranym towarzystwie objął rządy Jędrzej Śniadecki po śmierci doktora Szymkiewicza, którego nekrolog umieściły „Wiadomości Brukowe". Z nekrologu tego dowiadujemy się, że pierwszy prezydent, członek niegdyś loży wolnomularskiej, mógł istotnie służyć za wzór prawego obywatela kraju: „Przez rozporządzenie testamentowe dzieląc majątek między familią i przyjaciół, zapewnił dla swoich chłopów wieczyste posiadanie ziemi z naznaczeniem funduszu na edukacyę ich dzieci; oprócz tego odkazał sumy: na edukacyę w szkołach publicznych ubogich uczniów stanu szlacheckiego, miejskiego i chłopskiego; na powszechność muzyków profesyonistów wileńskich; na szkołę rzemieślniczą w Wilnie; na Towarzystwo Dobroczyn-

---

[1]) Hordyński, wymieniając w swej monografii nazwiska członków Tow. Szubrawców, pisze, iż nie wiadomo, który Mianowski należał do Towarzystwa: Mikołaj czy Józef. — Do Tow. mógł należeć tylko Mikołaj, gdyż Józef miał zaledwie 13 lat wówczas, gdy Tow. Szubrawców powstało.

ności i na pobożne jałmużny" [1]). Po Szymkiewiczu pełnił w zastępstwie obowiązki prezydenta Szubrawców Kontrym do dnia obioru Śniadeckiego na ten urząd w dniu 5 stycznia 1819 roku. Śniadecki, który nosił w Towarzystwie imię Sotwarosa, boga słońca i był dostojnikiem z nazwiskiem Rej, został powitany aż czterema mowami, gdy obejmował najwyższy w Towarzystwie urząd. Powitalne mowy wierszem wypowiedzieli: Leon Borowski, Ignacy Szydłowski, Michał Baliński i nieznany Szubrawiec, którego mowa, pełna zapału, górnego polotu i szczerego uczucia, tak się kończyła:

„Stań mężu!... na naszym czele,
A wy cnoty przyjaciele,
Podnieście prawdy sztandary,
Pójdziemy za jej przewodnią,
Choćby do piekła pieczary,
Wieść walki z dumą, kuglarstwem i zbrodnią.

Próżno syczy złość szalona
Zgrzyta zębem zemsta czarna;
Szaleństwo! o wściekłość marna!
I któż to prawdę pokona?...

Padajcie dumni na twarze!
Czas by duch się wasz pokorzył,
I uczcił tego ołtarze,
Który świętą prawdę stworzył.

Prawda oczu nie zasłania,
Krwią jej ręka nie zbroczona
Nie mieczem wojuje ona
Ale mocą przekonania" [2]).

---

[1]) „Wiadomości Brukowe" nr. 102 z dnia 16 listopada 1818 r.

[2]) „Tygodnik Wileński" 1819, T. VII, str. 110—111.

I nie zawiedli się Szubrawcy na swoim prezydencie. Pod rządami Śniadeckiego zaczął się najlepszy okres w rozwoju Towarzystwa. „Wiadomości Brukowe” duże miały powodzenie. Pobudzały one do czytania tych nawet, którzy dawniej nic nie czytali; przyczyniały się walnie do wyrabiania szacunku dla opinii publicznej; słowem miały sporą zasługę społeczną. O powodzeniu organu Szubrawców sam Śniadecki tak pisał: „W miastach powiatowych tu i ówdzie na pocztowych stacyach, w kawiarniach i po bilardach leżą na stole „Wiadomości Brukowe”. Za każdem zgromadzeniem się po ich nadejściu, są śmiechy, są i gniewy. Gdzie niegdzie powstają spory. Ma to pisemko swoich stronników, którzy je bronią; ma i nieprzyjaciół, którzy je łają. Tymczasem coś się czyta, a to w miejscach takich, gdzie nigdy nie czytano. Zaczynamy z tego powodu rozumować, a zatem i myśleć; a przez to samo dzieje się zadość istotnemu zamiarowi wydawców. Uderz a słuchaj, powiedział Eurybiadesowi Temistokles, jeżeliście o nich moi panowie słyszeli? Otóż łajcie nas, jak chcecie, ale się nauczcie czytać i myśleć; nauczcie się szanować zdanie publiczne i dbać o nie; przekonajcie się, że nieprawe postępki, choćby najtajemniejsze, wyjawić się muszą i nie ujdą bezkarnie. A naówczas przestaniemy pisać, bo się zamiarowi naszemu stanie zadosyć” [1]). Tak pisał Śniadecki jeszcze przed objęciem urzędu prezydenta w Towarzystwie Szubrawców. Później, gdy urząd na-

---

[1]) „Wiadomości Brukowe,“ nr. 76 z d. 18 maja 1818 r.

czelny w jego rękach spoczął, „Wiadomości Brukowe" cieszyły się, jeżeli nie większym, to w każdym razie nie mniejszym powodzeniem. Bez przesady rzec można, że Śniadeckiemu należy się pierwsze miejsce wśród pisarzów, którzy utwory swoje w „Wiadomościach Brukowych" umieszczali. Wśród pisarzów rzeczonych był i Leon Borowski, był i Michał Baliński, był i Szymkiewicz, byli i inni, Mickiewicza nie wyłączając [1]), a jednak Śniadeckiemu należy oddać pierwszeństwo pod każdym niemal względem i pod względem humoru, który wprost tryska z niektórych ustępów z pod jego pióra wyszłych i pod względem subtelnej satyry i pod względem języka, odznaczającego się dziwną prostotą i pięknością i nawet pod względem pracowitości. Jakkolwiek wszystkie artykuły w „Wiadomościach Brukowych" drukowane były bezimiennie, to jednak, Michałowi Balińskiemu zawdzięczając, wiemy, które artykuły napisał Śniadecki, albowiem w dwa lata po śmierci Śniadeckiego wydał Baliński pisma jego satyryczne w trzech tomikach. Śniadecki w rzeczy samej należał do najpilniejszych współpracowników „Wiadomości Brukowych". Dość wspomnieć, że w ciągu sześciu lat, w czasie których „Wiadomości Brukowe" wychodziły, wydano ogółem 287 numerów, z których 35 było całkowicie a 10 w znacznej mierze utworami Śniadeckiego zapełnione, tak że mniej więcej siódma część wszystkich pism, wydrukowanych w organie Szubrawców, została przez

---

[1]) Horodyński. Tow. Szubrawców. „Przew. nauk. i liter." 1882, T. X, str. 1004.

Śniadeckiego napisana. Prócz artykułów, umieszczonych w „Wiadomościach Brukowych", wydrukował Śniadecki jeden artykuł satyryczny p. n. „Filozoficzny próżniak Warszawskiemu Świstkowi [1]) zdrowia, spokojnego snu i smacznego apetytu" w „Tygodniku Polskim". Artykuł ten, składający się z listu do „Świstka Warszawskiego" i z „Wypisu z protokułu Najwyższej Kapituły Zakonu Smorgońskiego", został przedrukowany w „Tygodniku Wileńskim" [2]).

We wszystkich pismach satyrycznych Śniadeckiego odzwierciadla się wybornie jego prawy charakter i umysł światły. W pismach rzeczonych poruszał Śniadecki najrozmaitsze sprawy, a nie tylko te, które wedle kodeksu szubrawskiego poruszać przedewszystkiem należało. Nie zawsze atoli walczył bronią satyry. Nieraz śmiech go opuszcza, a natomiast ogarnia oburzenie. Są ustępy z wielkim humorem pisane; są inne, w których pierwiastek satyryczny ustępuje dydaktycznemu, przez co stają się one mniej zajmującymi, jak nap. artykuł p. n. „Co to jest rozum?" A lubo nie wszystkie artykuły i rozdziały poszczególne pism satyrycznych Śniadeckiego jednakową wartość pod względem literackim posiadają, to jednak znakomita ich większość jest z prawdziwym humorem napisana i porusza takie tematy, które dotychczas się nie prze-

---

[1]) Minister oświecenia w Królestwie Polskiem, Stanisław Potocki umieszczał przez kilka lat artykuły satyryczne pod nazwą „Świstka Krytycznego" w „Pamiętniku Warszawskim".

[2]) 1819 r. T. VII, str. 397—409.

starzały. We wszystkich pismach satyrycznych Śniadeckiego przebija się wielkie ojczyzny umiłowanie, ubolewanie nad wadami narodowemi i chęć obrony wszystkiego, co dla narodu istotną wartość posiada.

Jędrzej Śniadecki w swoich pismach satyrycznych najczęściej stawał w obronie języka ojczystego. Jest to bardzo znamienny rys umysłowości Śniadeckiego. Wiadomo z jakim pietyzmem dbał Jan Śniadecki o czystość języka. Jędrzej Śniadecki był w tym względzie prawdziwie nieodrodnym bratem Jana. I on bardzo wysoko język cenił i on dbał bardzo o jego czystość i doskonalenie. A wraz z umiłowaniem języka ojczystego znajdujemy u Śniadeckiego zamiłowanie we wszystkiem, co swojskie—rzecz naturalna—we wszystkiem, co było godnem tego i niechęć rzetelną do małpowania cudzoziemczyzny. O Śniadeckich obydwu możnaby powiedzieć to samo, co Mickiewicz o Soplicach powiedział:

„Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,
Że im oprócz ojczyzny nic się nie podoba".

Na chorobę tę cierpiał właśnie Jędrzej Śniadecki, a choroba ta była snadź u niego nieuleczalna, albowiem przejawiała się w rozmaitych okresach jego życia. Za rektoratu X. Strojnowskiego walczył w uniwersytecie Wileńskim przeciw sprowadzaniu cudzoziemców na katedry uniwersyteckie, twierdząc, iż nie mogą być oni właściwymi młodzieży polskiej wychowawcami. W kilkanaście lat później w „Wypisie z protokułu Najwyższej Kapituły Zakonu Smorgońskiego", znów dawne żale podnosi z powodu oso-

bliwego wyróżniania cudzoziemców w Polsce, którym pierwszeństwo przed rodakami oddają. W „Lamencie i raporcie szlachcica na łopacie“ powtarzają się narzekania na niedocenianie rzeczy swoich, a natomiast przecenianie cudzoziemczyzny. A to zamiłowanie do cudzoziemczyzny, to ślepe innych naśladownictwo ze szkodą własnej samodzielności, iluż to już wielkich ludzi naszych wytykało swym współczesnym! I Marcin Kromer, który powiedział o Polakach, że „mają umysły pojętne i dające sobie radę ze wszystkiem, czego się tylko tkną, tylko że wolą przyswajać sobie cudze wynalazki, niż samemu coś wymyślić i zasłynąć jakimś nowym odkryciem“, i Jan Kochanowski i Słowacki...

Lekceważenie języka ojczystego i małpowanie zagranicy szło razem z inną wadą naszą, wadą odwieczną—lenistwem, o której już Kromer wspomina, opisując charakter Polaków, a Andrzej Frycz Modrzewski radził nawet utworzyć w Polsce urzędy stróżów moralności, jednym z zadań których byłoby karanie próżniaków. I Śniadecki lenistwo uważał za jedną z największych wad naszych, przeto ośmieszaniu go nie mało miejsca w swych pismach satyrycznych poświęcił.

Nadużywanie trunków to także jedna z zastarzałych wad naszych, przeciw której zwrócił Śniadecki swe satyryczne pióro. A lubo pod względem nadużywania trunków ustępujemy niektórym narodom pierwszeństwa, to jednak do narodów wstrzemięźliwych nie należeliśmy i niestety, nie należymy, bo, jak słusznie Jan Onoszko powiedział:

„Pijem, kiedy się żenim, kiedy się rozwodzim,
Pijem, kiedy się bijem, pijem, gdy się godzim“ i t. d.

Słowem, pijem przy każdej niemal sposobności. Pijemy i teraz jeszcze dużo, za dużo z pewnością, chociaż już rzadziej może zdarzają się w czasach naszych takie orgie pijackie, o jakich X. Kitowicz w „Opisaniu zwyczajów i obyczajów polskich za Augusta III“ wspomina. Bądź co bądź, nadużywanie trunków stanowi do dziś dnia jedną z naszych plag społecznych, ranę, oddawna jątrzącą się, a dotychczas nie zagojoną. Naród, który znajduje się w takich nieszczęsnych warunkach, jak nasz, nie dosyć, gdy będzie miał takie cnoty, jak inne narody: powinien je mieć w stopniu wyższym jeszcze, jeżeli chce się od zagłady uchronić. O tym nie powinniśmy ani na chwilę zapominać. Nie dość zatem, gdy będziemy tak trzeźwi, jak inne narody. Powinniśmy być trzeźwiejsi od nich, bo większa nam praca w udziale przypadła. Zrozumieli to Szubrawcy, zrozumiał to i Śniadecki, jak strasznym wrogiem naszym jest pijaństwo, a przeto w walce z pijaństwem nie szczędził swego pióra, jak nie żałował go w walce i z innemi wadami naszemi. Bez przesady rzec można, iż nie było wady wśród Polaków rozpowszechnionej, którejby Śniadecki nie wytknął; nie było sprawy, cały ogół obchodzącej, nad którąby się nie zastanawiał. Próżniactwo, pijaństwo, pieniactwo, wstecznictwo, tytułomania, samochwalstwo, małpowanie cudzoziemczyzny, lekceważenie języka ojczystego, manja pisarska i manja wygłaszania mów przy lada okoliczności, marnotrawstwo,

żebractwo, pojedynki, plotkarstwo, zawieranie małżeństw dla pieniędzy—oto wady, które autor nasz biczem satyry chłoszcze. Sprawa żydowska, znachorstwo i wiara przesadna w tak zwany magnetyzm zwierzęcy, hipoteki, wychowanie domowe i publiczne, nowy kierunek w literaturze i t. d. — oto rzeczy, które zajmowały żywy umysł Śniadeckiego; oto rzeczy, w których zabierał niejednokrotnie głos w swych pismach szubrawskich.

Wszystkie pisma szubrawskie Śniadeckiego, miały niezaprzeczenie duży wpływ dodatni na obyczaje ówczesnego społeczeństwa na Litwie. Niektóre z wad, które Śniadecki piórem satyryka zwalczał, dotychczas krzewią się bujnie u nas—niestety! Gromił je później Kornel Ujejski w wierszu „Orzeł biały", przepowiadając, iż „nie prędzej wskrześnie Ojczyzna", aż się pozbędziemy własnych grzechów naszych, a temi są:

„Nasza pycha i prywata
I lenistwo i obczyzna..."

Pycha, prywata, a nadewszystko lenistwo dotychczas ciążą nam, jak kule ołowiane u nóg, nie pozwalają wzbić się do góry, ku odrodzeniu narodu. Niejedno zmieniło się ku lepszemu od czasów Śniadeckiego, lecz dużo jeszcze pozostało nam wad dawnych, grzechów ciężkich i dlatego i dziś jeszcze pisma satyryczne Śniadeckiego warte są czytania nie tylko dla pięknej polszczyzny, lecz i dla treści w nich zawartej. Dla treści tej właśnie cenili wysoko Szubrawcy swego przewodniczącego, okazując mu przy każdej zręczności szczere dowody czci

i uznania. Gdy Śniadecki raz zasiadł na krześle prezydyalnym, nie opuszczał go już aż do końca istnienia Towarzystwa, gdyż wdzięczni Szubrawcy rok rocznie Sotwarosa na prezydenta wybierali. Chcąc mu zaś wyrazić swoją wdzięczność za dzielne prowadzenie Towarzystwa, corocznie obchodzili bardzo uroczyście dzień 19 listopada, dzień imienia Śniadeckiego. Na jedną z uroczystości takich napisał Michał Baliński „pieśń bachiczną". Pieśń kończyła się z toastem na cześć Śniadeckiego:

„Pod Sotwarosa sławnego przewodem,
Godni będziemy przejść do potomności!
Tymczasem z całym Szubrawskim rodem,
Spełnijmy puhar jego pomyślności!

Niechaj Ci Mężu uczony i prawy
Tak Bóstwa dają, jak my pijem zdrowie,
Niechaj Cię wiecznie w świątyni sławy
Wdzięczni Polaków czczą potomkowie!" [1]).

Ostatni raz obchodzono uroczyście w gronie Szubrawców imieniny Śniadeckiego w r. 1821. W następnym bowiem roku rząd zawiesił wydawanie „Wiadomości Brukowych", wskutek czego Towarzystwo Szubrawców rozwiązało się. Dopóki „Wiadomości Brukowe" wychodziły Śniadecki nie przestawał nigdy być ich współpracownikiem, lecz po zawieszeniu organu Szubrawców nie napisał już ani jednego artykułu satyrycznego: Śniadecki—satyryk zamilkł na zawsze.

Adam Wrzosek.

---

[1]) Biblioteka Jagiellońska. Kodeks 3086.

I.

Mości Panie Redaktorze! [1]).

Nie mam ja szczęścia należeć do zacnego zgromadzenia Szubrawców, których jeden z uczonych WPana kolegów tak pracowicie opisuje z tyłu i z przodu, że aż czytającemu ślina idzie do gęby, i gwałtem się szubrawstwo kręci po głowie. Jedna mi tylko nad uczoną jego rozprawą przyszła uwaga, to jest: że autor nie musi być z powołania tak nazwanym historykiem naturalnym, ponieważ się nie trzyma sposobu i nie używa wyrazów, jakich zazwyczaj ci historycy w opisaniu nowych gatunków używają. Ale to mniejsza, bo ja wcale nie o tem do WP. chcę pisać, tylko zwyczajnie, jak się autorom przytrafia, piszę bez myśli, albo co innego myśląc. Szkoda porzucić zdanie lub uwagę, która ni ztąd ni zowąd nawinie, kiedy się już raz ma pióro w ręku; więc przepraszam i przystępuję do rze-

---

[1]) List do redaktora „Wiadomości Brukowych". „Wiadomości Brukowe" Nr. 56 z d. 29 grudnia 1817 r., str. 232 — 235. (P. W.).

czy--bo podług zwyczajnego sposobu mówienia, tak nazywamy i to, co często jest nie do rzeczy.

Uczone zgromadzenie WPanów, zapewne zna wszystkie przypadki i postrzeżenia sławnego szubrawca, włóczęgi *Gulliwera,* przyjaciela naszego Doświadczyńskiego, z którym szkoda, że się gdzie nie zjechał. Otóż Mości Panie, ten Szubrawiec, w podróży do Laputa, zastał na wyspie *Balnibarbi* w mieście Lagado bardzo uczony uniwersytet, czyli też akademiją (bo prawdziwie nie pamiętam, WPanowie to lepiej musicie wiedzieć) projektystów, których nader ciekawe i ważne badania [1]) opisał. Trzeba, żebyś WPan wiedział, że ten poczciwy Gulliwer miał szczególne zachowanie z niejakim Piotrem Bajarskim, podstolim wendeńskim, a moim wielkim przyjacielem. Więc tedy mój Pan Piotr dostał od niego niektórych pisemek, częścią z opisaniem nowej jakiej włóczęgi, częścią z dodatkami do tego, co już wytłoczył [2]). A tych pisemek ja się dorwałem, sposobem bardzo uczciwym, bo, mówiąc między nami, Pan Piotr zrobił mnie był eksekutorem swego testamentu. Nie wiedząc tedy, co z temi pismami robić? postanowiłem sobie, ot tak, kiedy niekiedy, rozsiewać je po bruku, a WPanowie, Pano-

---

[1]) *Badania* nie jest wyraz dosyć uczony; właściwie wypadałoby powiedzieć Zacieki. WPanowie wiecie, z jakiéjto kuźni ten wyraz wyszedł; ale, że nasi Litwini rozumieliby czasem że: to o zasiekach mowa, albo: że im zacieka za kołnierz, więc tego wyrazu nie używam.

[2]) WPan się nie śmiej, bo to jest wyraz prawdziwie dobitny i doskonały. Bo cóż to znaczy *drukować?* tak mówić każdy potrafi, ale *wytłoczyć:* to pięknie.

wie Szubrawcy, kiedy chcecie, zbierajcie. Chciałem więc i teraz upuścić jeden dodatek; ale, żeby się mógł łatwo w śniegu zawalać, więc go wolę WPanu prosto posłać.

Dodatek do rozdziału V i VI Podróży do Laputy.

Na wyspie Balnibarbi są trzy klasy ludzi; z których jedna chodzi w *koturnach* [1]), mieszka pod słomianą niską strzechą, dymem oddycha, a plewami na pół z mąką się karmi; każdy człowiek w tej klasie, z urodzenia i obowiązku, orze, sieje i młóci; ale koniecznie na tym kawałku ziemi, na którym się urodził. Druga klasa chodzi w bótach i długich sukniach, nakształt szlafroków, głowy, po większej części, dla łatwiejszej transpiracyi [2]) goli i ręcznikiem długim, rozmaitemi farbami upstrzonym, się przepasuje; a to jak widać dla podwiązania i podparcia brzucha, który zazwyczaj jest wielki. Chociaż nie uważałem, żeby ta klasa miała większe głowy od innych, *bo zdawało mi się, że najwięcej brzuchem celowała,* przekonałem się jednakże [3]), że celowała rozumem, bo się oczywiście rodziła i z zu-

---

[1]) Gulliwer był człowiek uczony, a łapciów widać nie znał.

[2]) Domyślam się: że to dla łatwiejszej transpiracyi: bom czasem widział, jak się z tych czupryn kurzyło wyraźnie, czego wszakże na głowach niegolonych nie znać. Wreszcie wartoby, ażeby jaka uczona akademija wydała w tej mierze pytania do konkursu.

[3]) Nie potrzeba WPana ostrzegać, że to Gulliwer mówi

pełną nauką i ze zdolnością do wszystkiego. Dowodem tego oczéwistym to było, że klasa ta pisała prawa, i że posiadała wszystkie urzędy, nawet sędziowskie, a to bez żadnej nauki, jedynie za nadaniem przez drugich członków tej klasy. Sposób tego nadania był ten: iż w pewnym przeciągu czasu, wszystkie członki tej klasy zjeżdżały się razem i na natchnionych, czyli czujących w sobie powołanie do urzędu, ciskały drewniannemi kulkami; a na kogo większa liczba kulek padła, ten tém samem był zdatny do wszystkiego. Nie mógłem tego długo pojąć, i rozumiałem z początku po prostu: że te gałki są to jakieś czarodziejskie nasiona talentów, które na ludzi tak, jak na pustą rolę rzucano; ale gdym się raz z tem odezwał, wyśmiała mnie cała wygolona klasa [1]) i musiałem milczeć. Ta klasa utalentowana, sama jedna posiada ziemię, którą za pomocą klasy koturnowej uprawia. Trzecia klasa, barдzo liczna, chodzi z brodą i wiszącemi po skroniach włosami; nosi długie szlafroki nakształt klasy przepasanej, ale zawsze czarne; możniejsi i zacniejsi w tej klasie, zwłaszcza gdy chcą nastawić powagę, odkrywają jeden połeć tego szlafroka, zazwyczaj brudnego, i pod nim trzymają rękę za pasem; wychodząc z domu, chodzą w lecie i w zimie w opończy, która pospolicie jest obszarpana i brudna. Ta klasa umie z mąki żytniéj pędzić trunek opajający i smrodliwy, za pomocą którego od klasy ko-

---

[1]) Jakże się nie śmiać? widzieć oczywiście: że Gulliwer był prostak.

turnowej wszystko wyłudza, i nic nie robiąc z niej żyje, za co klasie golonej rocznie umówioną summę opłaca; za oszukiwanie zaś samej klasy golonej nic nie płaci.

Gdym był na wyspie, jeden członek akademii podał projekt oswobodzenia klasy koturnowej, namawiając przepasanych, ażeby tej klasie pozwoliła mieszkać i orać, gdzie się jej podoba; od czego przepasani (jak się zdawało) cale nie byli dalecy. Ten projekt zależał na tem: ażeby w każdym okręgu, na które wyspa była podzielona, ustanowić dobrze płatnego opiekuna, któryby wolności klasy Koturnowej przestrzegał. A że wolność koniecznie zależy od lekkości; więc ten opiekun powinien był mieć pilną baczność na kieszenie tej klasy, ustawicznie je przeglądać, i coby w nich było ciężkiego wyjmować: prócz tego, cokolwiekby na człowieku koturnowym widział szkodliwego jego lekkości, a od czegoby go klasa brodata nie oswobodziła, winien był zabierać do siebie. Za co miała mu klasa przepasana składać corocznie znaczną do jego rozrządzenia sumę. Ten zbawienny środek tem był potrzebniejszy, że chociaż na wyspie było dosyć filantropów gorliwych o lekkość kieszeni, tak klasy koturnowej jako i przepasanej, i każdy okrąg miał swoich, kulkami drewniannemi do tego upoważnionych; wszelako prawdziwa filantropija wymaga, ażeby takich było jak najwięcej.

Drugi członek akademii podał projekt dla klasy przepasanej, żeby ta mogła bezpiecznie lokować swoje pieniądze. Ten projekt zależał na tem: żeby część tych pieniędzy natychmiast oddali uprzywile-

jowanym malarzom, którzy majątki w miniaturze malować umieją. Żeby każdy zaraz takiego malarza, nasłanego od kollegium sztuk wyzwolonych, u siebie przyjął, karmił, i za miniaturę gotowemi pieniędzmi zapłacił. Tę miniaturę powinien był posłać do wyższego kolegium matematyków, w których kancellaryi także część kapitału ulokuje, a oni mu za to powiedzą, co jego miniatura warta. Wyjechałem z wyspy, nim ten projekt przyszedł do skutku, i nie wiem, co się z nim stało; bo rozmaite członki klasy przepasanej zaczęły się natychmiast o wzmiankowane miniatury kłócić, dowodząc po dwóch, a często po trzech lub więcej, że miniatury do nich należą, i wydzierając je sobie nawzajem. Z czego się malarze niezmiernie śmiali, biorąc tymczasem kapitały i od jednych i od drugich, a to wszystko dla bezpiecznej lokacyi.

Reszta potem.

Bogumił Uważnicki
Szlachcic Oszmiański.

II.

Dalszy ciąg postrzeżeń włóczęgi Guliwera [1].

W ciągu bawienia się mojego na wyspie *Balnibarbi*, przekonałem się, że mieszkańcy z przyrodzenia dobrzy i poczciwi, dotknięci są niemal po-

---

[1]) „Wiadomości Brukowe" Nr. 59 z dnia 19 stycznia 1818 r., str. 9—12. (P. W.).

wszechnie osobliwą wcale chorobą oczów, jakiej na innych poblizkich wyspach nigdy nie widziałem. — Ta choroba zależy na tem, iż ich druki wszelkiego rodzaju niezmiernie rażą, i dlatego nic nie czytają i czytać nie lubią. Ztąd pochodzi, że księgarze bardzo się źle mają, a autorowie jeszcze gorzej, pisząc po większej części jedni dla drugich. Owszem i ci ostatni, często się kłócąc i nienawidząc nawzajem, przez prawdziwą lub udawaną pogardę rzadko jedni drugich czytać raczą. Kogo więc chuć autorska mocno i bez ratunku dręczy, ten w dziełach swoich długo butwiejąc i służąc to myszom na gniazda, to mólom za pastwę, idzie nakoniec pod placki lub na funciki. Takie jest na tej wyspie wysokie pisarzów przeznaczenie i taka nagroda. Wszakże ta ślepota panuje tylko w klasie przepasanej; koturnowa albowiem nie może czytać, bo nie umie, ale to zostawia uczonym z profesyi. Owszem cała ta klasa (rzecz niesłychana!) mówi i pisze osobnym i cale obcym na wyspie językiem; więc pisarzów krajowych nie czyta i nie zna. Jej zaś właśni uczeni nic nie umieją, ale całe życie nad wielką siedząc księgą, dzień i noc się kiwają, to z tyłu naprzód to z jednego boku na drugi, podług ważności materyi. Zachowują jednakże całą mędrców powagę, a na okazanie niezgruntowanej głębokości nauki, nigdy nic nie mówią, ani tego, co do nich mówią, nie słyszą i nie rozumieją. Pospólstwo brodate karmi ich i odziewa, a przez uszanowanie, zaledwo kiedy i to z największą nieśmiałością, do nich się zbliża.

Przyczyny zaś choroby oczów w klasie przepasanej, rozmaite się być zdają. Można albowiem

tę klasę podzielić na kilka gatunków, podług wychowania, majątku i sposobu życia; a naówczas łatwo jest poznać, jak przyczyny ślepoty w każdym gatunku coraz są inne. Samo albowiem czoło, czyli szczyt tej klasy, także języka *Balnibarbi* nie umie, a przynajmniej umieć nie chce, a przeto udaje, że nie umie. Nie jest dlatego gatunek ten niemy; owszem najwięcej szczebioce, ale językiem *Kukuryku*, wyspy osobnej, od *Balnibarbi* znacznie odległej. Wielka albowiem część ich wychowania i wyższości na tem się zasadza, żeby się języka *Kukuryku* nauczyć. Częścią więc dlatego, częścią dla niepospolitowania się, dzieci swoich z innemi do szkół nie oddają, ale albo na wyspę *Kukuryku* wywożą, albo ztamtąd nauczycielów wypisują; albo zbiegłych i wałęsających się obojej płci włóczęgów skwapliwie chwytają, przepłacają, wydzierają jedni drugim i im hodowanie potomstwa swego powierzają. Czupurne zaś te i świegotliwe *Kukuryki*, przez ustawiczne szczebiotanie, wyziewają z siebie gatunek bardzo jadowitego gazu, albo raczej lekkiej piany nakształt mydlin, któremi oczy młodych i niewinnych *Balnibarbków* zaciągają: zkąd się rodzi ten szczególny i niepojęty gatunek wzroku, iż co tylko jest wyspie ich właściwego, tego albo nie widzą, albo widzą pod najgorszą postacią; a zatem i druków w własnym języku, albo nie czytają, albo nie rozumieją, albo ziewają na sam ich widok, mając je za niedoskonałe i niezmiernie nudne. Owszem, taka jest moc jadowitej piany tych cudzoziemców, iż gdzie tylko jeden z nich wpadnie, cały dom zaraża; a potem wszystko do siebie garnie, wszystkiem

samowładnie rządzi, i tego nadewszystko pilnuje, ażeby się nikt grubym i nieokrzesanym językiem *Balnibarbi* mówić nie ważył.

Oprócz tego, ruchawy ten lud i bardzo zwrotny; posiada w wysokim stopniu talent przebierania nogami, przez co doskonale najskrytsze swoje myśli i rozmaite uczucia tłumaczy. Wieleby było mówić o tej obszernej *Kukuryków* nauce, w której są dla wszystkich innych ludów mistrzami, a za której pomocą, niejeden geniusz w mgnieniu oka trzy razy się wkoło na jednym palcu okręci. Na tej tedy nauce chodzenia, wywijania się i podskakiwania, całą młodość dystyngwowane *Balnibarbki* trawią; a nauczyciele ich, mniej dbając o głowę, w nodze i pięcie całą szlachetność i doskonałość człowieka gruntują, twierdząc, iż to jest prawdziwy fundament, ponieważ bez nóg niktby stać ani chodzić, a zatem ani dojść do niczego nie mógł. Kobiety tego gatunku, gdy się zbiorą razem, sadzają się, cenią i poważają podług stopnia *kukurykowatości*. Mówią wiele bezprzestannie i najczęściej wszystkie razem, a w tym zmieszanym i na pozór niepojętym gwarze, przesyłają sobie ze wszech stron pytania i odpowiedzi, a zawsze w języku *Kukuryków*. Ponieważ zaś nieumienie tego języka jest znakiem złego wychowania i wątpliwej rodowitości, zatem te, które go nie umiały zamłodu, uczą się dzień i noc nawet na starość, co jest gatunkiem odmłodnienia. Jeżeli zaś mówią własnym językiem, tedy tu i owdzie, jak muszki na brodawki lub piegi, choć po parze słów *kukurykowych* przylepiają; co jest znakiem dobrego wychowania i robi srokaciznę modną

i wcale przyjemną, coś nakształt babilońskiego munduru. Zdarza się i to, że nie bardzo w *kukuryko-wym* języku biegłe, ale dla dobrego, jak mówią, tonu tu i owdzie nim się odzywające, nielitościwie go kaleczą; co bywa na innych schadzkach kobiecych, lub męzko-kobiecych obfitą materyą długiej rozmowy i uszczypliwych żartów. Tak co gdzieś jakiś uczony dziwak powiedział, że ludzie żyją jedni kosztem drugich, na wyspie *Balnibarbi* jeszcze się dalej rozciąga, bo nawet jedni kosztem drugich się bawią. Za miłością języka i wychowaniem, poszła i miłość samych *Kukuryków* i ich obyczajów. Dlatego gdziekolwiek się na wyspie nowy jaki pokaże, wszystkie, tak się same przez skromność nazywające, dobre towarzystwa, ubiegają się za nim jak za rarogiem, starają się jak o osobliwszy specyał; a gdzie się na schadzce pokaże, otaczają go z podziwieniem, sadzają na pierwszem miejscu, wielbią, dziwią się wszystkiemu co powie, słowem nacieszyć się nim nie mogą. Zkąd pochodzi, że nic nie masz na wyspie tak nadętego i krnąbrnego, jak *Kukuryku*. A że oczy przepasanych nieuleczonym sposobem są zamydlone, to jest, zarażone i zepsute; że za pomocą tej choroby, wszystko, co jest swoje, wydaje się szkaradne i nie do rzeczy; dlatego mieszkańcy *Balnibarbi*, sposobem wszystkim na świecie ludom przeciwnym, nic tak nie poważają, jak cudzych; niczego mniej nie cenią jak swoich; i jeżeli się który z tych biednych cokolwiek obmoże i celować w czem zacznie, samo jego wspomnienie wzbudza w polerowanej klasie spazm, i okropnie jej usta wykrzywia; kiedy wspomnienie jakiegokol-

wiek obcego bałwanka łagodzi uśmiech, za którym idzie jednogłośne odezwanie się... *Ach, co to, to co innego!*

Nie tak jest mocna choroba oczów w gatunku cokolwiek od szczytu niższym; w nim albowiem ci tylko cierpią, którzy się o pierwszy gatunek ocierają, z nim kojarzą i żyją, lub którzy się gwałtem pną w górę i biorą na pazury, ażeby temu gatunkowi wyrównali. Co się jednakże częściej daje postrzegać w kobietach, aniżeli w mężczyznach. Ci żyją po większej części na wsi i uprawą ziemi są zajęci, a do miast przyjeżdżają tylko wtenczas, kiedy się między sobą kłócą. Wtedy udają się po rozstrzygnienie sporu do wybranych drewnianemi kulkami, ale to pospolicie następuje bardzo nieprędko i nie wprzód, aż się obiedwie strony pozbawią szkodliwego ognia i wszelkiej jego podniety. Tu znowu zdaje się, że mieszkańcy *Balnibarbi* ani mówić, ani pisać nie umieją: bo zazwyczaj najmują innych, którzyby w tych kłótniach za nich gadali, pisali i łajali stronę przeciwną. Nie można powiedzieć, żeby gatunek ten nie czytał; owszem, są w nim tacy, którzy wychodzące w kilka dni na wielkim papierze pismo sprowadzają i czytają głośno wszystkim swoim sąsiadom i znajomym, albo naokoło pożyczają. Pismo to, jest to uprzywilejowany zbiór nowin i plotek z innych wysp nadesłanych, owszem zbieranych z całego świata, a kończy się doniesieniami o kłótniach i wzajemnych oszukaniach na wyspie zdarzonych, lub nastąpić mających; co przepasani z największą czytają ciekawością i co ich najmocniej bawi. O tym gatunku jest nadzieja, że zu-

pełnie przejrzy, zwłaszcza, że doktorowie mocno się zaczęli krzątać około jego uleczenia, a niedawno wpadli na nowy i wcale szczególny wynalazek, to jest, żeby temu cokolwiek czytającemu gatunkowi, co ośm dni zbieranym na bruku piaskiem, oczy przecierać. Co, lubo niektórych zaślepionych niezmiernie razi, ale wielu innym, jak mówią, pomaga i im samym z czasem pomódz może, ile, że niepodobna, żeby niekiedy jakie ostre ziarno i im w oko nie wpadło; co powoli, ale skutecznie i pewnie fatalne bielmo wygryzie i strawi.

Ale wielka jest i niełatwa do uleczenia choroba oczów w trzecim i mniej uważanym gatunku przepasanych. Gatunek ten rodzi się po wsiach, ale się wcześnie i bardzo młodo do miast i miasteczek ciśnie, gdzie bierze wychowanie w magazynach zbutwiałych szpargałów i przysłuchuje się wcześnie kłótniom i łajaniom, z tych szpargałów wynikłym, przez co i wzrok znacznie przytępia, tak, że potem całe życie dość krótko widzi i zabiera wcześnie gust do kłótni, obierając je niekiedy za ulubione zatrudnienie całego życia. Ci, oprócz swoich starożytnych szpargałów, nic nie czytają, owszem wszystkie inne pisma zupełnie mają za nic, i bez subjekcyi głupstwem nazywają. Są to prawdziwi i jedyni starożytnicy na całej wyspie, a kunszt swój wydoskonalili do tego stopnia, że nietylko na każdym odwiecznym szpargale potrafią czytać co potrzeba, nietylko zepsuty naprawią, do przypadku naciągną, podskrobią, podłatają, ale nawet nowe budować i im doskonale piętno starożytności nadać umieją. Doktorowie utrzymują, że mała jest wyleczenia ich

nadzieja, a to dlatego, że jest w nich symptoma wszystkim nieuleczonym chorobom właściwe, to jest, że się mają za zupełnie zdrowych; owszem, uważając resztę ludzi za chorych, z uśmiechem i litością spoglądają na nich; niektórzy atoli nie tracą nadziei i sądzą, iżby nie szkodziło sprobować, i im wyżej wspomnianem lekarstwem oczy nacierać; ale na to trzebaby mocnej dozy, i bardzo pewnej ręki.

III.

Jeszcze postrzeżenia włóczęgi Guliwera [1]).

Niedaleko od wyspy *Balnibarbi,* naprzeciw portu *Maldonado,* leży druga wyspa niewielka, której dla pewnych przyczyn w podróży mojej nie opisałem. Należy, równie jak poprzedzająca, do króla *Laputy* i nazywa się *Perorada,* co znaczy w języku *Balnibarbi* kraj wymowy. I sprawiedliwie; wszyscy albowiem mieszkańcy są mówcami, czyli oratorami z urodzenia, powołania i gustu. Owszem ten talent jest u nich namiętnością. Nie uczą się oni wprawdzie wymowy więcej od innych, ale ją mają z przyrodzenia i dlatego nią całe życie są zajęci. Niemasz żadnego publicznego obchodu, żadnego zgromadzenia, żadnej schadzki, któraby się nie zaczęła od mowy i gdzieby kilku przynajmniej członków nie wystąpiło z mowami. Ci, którzy są na czele zgromadzenia, nie ustąpiliby przywileju przemawiania do drugich za żaden skarb w świecie. Nie

---

[1]) „Wiadomości Brukowe" Nr. 68 z dnia 23 marca 1818 r., str. 45—47. (P. W.).

mówią oni wprawdzie z potrzeby, a zatem ani z pamięci, ale napisane kilkóćwiartkowe głosy wyciągają zwolna z kieszeni, a odkrząknąwszy poważnie, lub wdziawszy okulary na nos, głośno czytają.

Mowy takowe zawsze się drukują, chociaż drudzy mówcy rzadko je czytają. Jeżeli który mieszkaniec, należący do jakiego zgromadzenia, nie jest sam w stanie napisać, kupuje mowę u drugich i czyta, boby to był wstyd, nie zabrać głosu i nie przeczytać przynajmniej arkusza. Od tego bowiem całe szczęście wyspy, pomyślność obywateli i dobre skutki obrad zależą. Cóż albowiem są obrady? jeżeli nie zbiór kilkunastu lub kilkudziesiąt głosów, stosownie i niestosownie do materyi odbytych. Że zaś kraj jest bardzo porządny, przeto dla publicznej wygody są pisarze mów i głosów z powołania, i są obszerne kramy, w których za umówioną cenę, głosów w każdej materyi dostać można. Żeby je zaś łatwo do okoliczności przystosować, są pospolicie bez tytułu i mają tu i owdzie miejsca próżne. Kupujący nadaje im imie jako swojej własności, a w miejscach próżnych, czyli *odstępach*, kładzie podług potrzeby, albo *Prześwietna publiczności*, albo *Prześwietny sądzie;* albo JWW. WW. Mości Panowie, albo *Szanowni koledzy*, i t. d., i t. d., jak z losu wypadnie.

Niechże się na wyspie pokaże król, albo który z urzędników znaczniejszych, każdy sobie ma za powinność, ażeby go, gdziekolwiek spotka, mową powitał. Cisną się więc do niego o każdej porze; wychodzącemu lub wyjeżdżającemu zastępują drogę; przejmują na wszystkich załamaniach i zawro-

tach; zatrzymują niemal gwałtem i nie puszczają dopóty, dopóki przygotowanych dla siebie głosów nie wysłucha. Dlatego też wielcy urzędnicy rzadko się na tę wyspę spuszczają, ale jeżeli się do niej *Laputa* [1]) zbliży, lub nad nią unosi, mówcy zwracają głos i oczy do góry, z całym zapałem przygotowane mowy wykrzykują, a potem drukowane na spuszczoną umyślnie z *Laputy* długą linę nadziewają. Mieszkańcy wyspy napowietrznej mają ztąd niemałą korzyść, nie mając albowiem lasów, aby tylko tydzień nad *Peroradą* zabawili, mają czem w piecach palić przez całą zimę. Nie jest więc ten rodzaj pracy bez użytku, owszem, ponieważ, jakem gdzieindziej opisał, astrologia bardzo jest u mieszkańców Laputy wydoskonalona; zatem ile razy ciężką przewidują zimę, cały miesiąc nad *Peroradą* krążą, co tak dobry i pewny ma skutek, iż się potem najcięższych nie lękają mrozów. Kucharze zaś nie chcą używać tego materyału na opał, dostrzegli albowiem, iż daje wiele trzasku i dymu a mało ciepła. Dlatego i gotowane przy nim potrawy niezmiernie czczym wydymają wiatrem.

Ale i w niedostatku wielkiego urzędnika lub obrad publicznych nie próżnują Cycerony wyspy i jej stolicy *Gawędopolu*, ale w potrzebie witają się mowami jedni drugich. Wykrzykują je na każ-

---

[1]) Czytelnicy nasi, co nie czytali sławnych podróży Guliwera, wiedzieć mają, iż *Laputa* jest wyspa napowietrzna unosząca się w przestrzeni samym duchem magnetycznym; tudzież że na niej mieszka z całym dworem i magnatami król, do którego *Balnibarbi* i *Perorada* należy.

dem weselu, na każdych imieninach lub urodzinach. Na tych ostatnich odbywają głosy lub składają śpiewy do nowonarodzonego niemowlęcia, do rodziców i krewnych, tłumacząc im czego się po nowonarodzonym familia i kraj spodziewać mają; jak wielkie w nim postrzegają zdatności i talenta; tudzież jak jest szlachetna i doskonała krew, z której się rodzi. Na pogrzebach wyliczają niesłychane zmarłego zasługi i cnoty; grożą po tak wielkiej stracie nieochybnym upadkiem krajowi, potem szczęściem postrzegają przytomnego, tam pozostałego potomka, który tak okropne nieszczęście pewno odwróci i upadający kraj podźwignie.

Jeden z członków akademii w *Logado* podał projekt, ażeby: *naprzód*, dla wygody mieszkańców wyspy *Perorady*, w mieście po wszystkich rynkach i rogach, a na drogach publicznych co tysiąc kroków, powystawiać wygodne i wyniosłe *mównice*, gdzieby każdy nawiedzony nieodbitą potrzebą czytania z karty, przechodzących miał prawo zatrzymać, dopókiby jego głosu nie wysłuchali. *Powtóre*, ażeby na tej zasadzie systema podatkowania oprzeć, naznaczając od każdej ćwiartki mowy publicznie czytanej, po jednej sztuce złotej, a po srebrnej od czytanej prywatnie. *Potrzecie*, ażeby ci, którzyby przechodząc lub przejeżdżając około mównicy, zatrzymać się i posłuchać głosu nie chcieli, zapłacili po pół sztuki srebrnej. *Poczwarte* nakoniec, ażeby tych, którzy innych publicznych podatków nie opłacili, do publicznych mównic codziennie prowadzić, a nie pozwalając im mówić, dopóty słuchaczami tylko być kazać, dopóki zaległości nie zapłacą.

Drugi atoli bardzo uczony członek tej akademii wydał przeciwko niemu pismo w ośmiu tomach, dowodząc, że to systema jest szkodliwe, i że tym sposobem wkrótceby cała wyspa do ostatniego przyszła ubóstwa. Owszem, ponieważ się z tablic śmiertelności i świadectw doktorów pokazało, iż z przyczyny zagęszczonych chorób piersiowych coraz więcej ludzi umiera (co zapewne zrywaniu piersi przez częste wykrzykiwanie mów przypisać należy), zatem radzi, ażeby nietylko mównic po drogach, rynkach i ulicach nie stawiać; ale żeby na podobieństwo *budzicieli* na wyspie Lapucie, którzy wyprowadzają metafizyków z głębokiego pogrążenia w myślach, paląc po uszach i nosach suchemi pęcherzami z grochem [1]): postanowić publicznych *uśmierzycieli*, którzyby z urzędu, osadzoną na długim kiju poduszką, stawającym w pozyturze do perorowania, skoro tylko otworzą gębę, zatykali. Znalazło się atoli wielu uczonych, którzy i przeciwko tej pięknej myśli powstali, mądrze i gruntownie dowodząc, iż ten sposób całkiem jest szkodliwy; możnaby albowiem takim postępkiem niejednego ważnego i gorliwego mówcę odrazu udusić. Inni dowodzili, iż tak nagłe i gwałtowne wstrzymanie oratorskiego zapędu mogłoby sprawić konwulsye, lub na zawsze drogie mówców zdrowie osłabić. Ci więc miłośnicy pięknych umiejętności radzą, ażeby raczej wszystkie miejsca publiczne osadzić *Rzegotnikami*, którzyby ile razy mówca głos zabierze, dopóty rzegotali wszys-

---

[1]) Zobacz mojej podróży do Laputy Rodział II.

cy razem, dopókiby nie skończył. Jakoż uważałem że to rozsądne zdanie wielu się podobało dlatego, iż rozumieli, że turkot rzegotek, nie tamując głosu mówców, sprawi w uszach słuchaczów taki sam skutek, jak czytanie kilku głosów razem, a zatem, że się przez to obydwom stronom dogodzi. Na zgromadzeniach tylko i schadzkach, gdzie idzie o wykonanie rozrządzeń wyższych lub ważną jaką robotę, a zatem gdzie czynić nie gadać potrzeba; każdy członek będzie miał przy sobie uśmierzyciela, trzymającego w ręku na bardzo ładnym, pozłacanym trzonku skórzaną klapę, nakształt używanej u nas na muchy. Tą, skoro kto z członków sięgnie do kieszeni po pismo, uderzy trzonkiem mocno po ręku; jeżeli zaś zabierze głos i nadto długo mówić będzie, klapą po języku, powtarzając to ile razy będzie potrzeba. Żeby zaś dać talentom wszelką wolność i opiekę, a razem szerzeniu się chorób piersiowych tamę położyć, będzie wybrana pewna tylko perorantów liczba, którym przywilej ten służyć będzie wyłącznie, a którzy na znak swojej godności i swego talentu, nosić będą żółte szlafmyce z czerwonemi kutasikami, jako godło oratorskiego zapału.

IV.

Znowu postrzeżenia włóczęgi Guliwera. [1]

Kto nie zna doskonale wszystkich mieszkańców królestwa Laputy, mógłby z pewnego względu

[1] „Wiadomości Brukowe" Nr. 86 z d. 27 lipca 1818 r. str 117-120. (P. W.).

sądzić, że mają zupełnie pomieszane zmysły. Uważając albowiem, jak wiele cenią starożytność swoich domów i jak się troskliwie i kosztownie o wywody tej starożytności ubiegają; jak ją niekiedy drogo kupują: zdawałoby się, iż nic wyżej nie cenią nad własne domowe imiona. W rzeczy samej zaś niczego się bardziej nie wstydzą, tak dalece: iż nazwać kogo z nich prosto po imieniu, jest to go mocno urazić i zarobić sobie na trwałą nieprzyjaźń; jest to pokazać się bardzo nieobyczajnym w towarzystwie i nieokrzesanym prostakiem. Dla uniknienia więc tego nieszczęścia, to jest, ażeby ich czasem kto po imieniu nie nazywał, starają się wszyscy o urzędy lub tytuły, z których największą część sami sobie nadają nawzajem, lub sami bez dołożenia się niczyjego. Czego gdy raz dokażą, nikt ich więcej nie nazywa inaczej jak po urzędzie. Stąd wypada rzecz dla nas cudzoziemców wcale zabawna i nowa, tojest: że cały kraj z samych tylko urzędników się składa. Jeżeli albowiem kto miał urząd, nawet przed trzydziestu lub czterdziestu laty, wiecznie go takim samym urzędnikiem nazywają. Owszem, urząd ten raz pochwycony staje się tytułem, który wiecznem prawem spada na następców i od pokolenia do pokolenia przechodzi, z pewnem tylko wykrzywieniem i przeciągnieniem głosu na końcu; przez co daje się uczuć różnica ojca od syna, wnuka i prawnuka. Największa zaś część tytułów i urzędów jest śmieszna i żadnego niema znaczenia. Niektóre wzięte są od dawnej służby na dworze królewskim; a to w piwnicy, kredensie, przedpokoju lub kuchni, służby, jakiej od wieków

nie ma. Inne od dawnych miejsc w byłém wojsku, w byłym rządzie, byłym powiecie i t. p. Wszystko to jest szacowne; wszystko jakkolwiek dawne i zwietrzałe, dobre: aby tylko dawało tytuł; aby okazywało jakąś dostojność, a ochroniło od nazywania się; broń Boże, własnem imieniem. Są nakoniec tytuły pożyczone z zagranicy, te są najwygodniejsze; ponieważ bez dołożenia się niczyjego, można sobie samemu tak znakomity nadać zaszczyt, który nic nie kosztuje, a tem jest lepszy, tem poważańszy i i tem przyjemniéj w ucho wpada, że obcy. Taka albowiem jest ślepota tego ludu, że u nich zaszczytem jest być cudzoziemcem, z zagranicznych pochodzić, lub się przynajmniej po zagranicznemu nazywać; a imienia własnego kraju używają niekiedy za nazwisko krzywdzące. Tak naprz. ponieważ nawet swój strój odmienili i wstydzą się jego; zatem tych, którzy się jeszcze po dawnemu noszą, z urąganiem imieniem kraju swojego oznaczają, mówiąc: *„przyszedł tam jakiś Laputa“*—*„jakiś Laputa chce z tobą mówić“* i t. d.—Okropna i nieodpuszczona wada! ciężka pierworodna choroba! z której nawet największe nieszczęścia nie leczą.

Ci, którzy sobie raz tytuł, zwłaszcza cudzoziemski, nadali, gniewają się; jeżeli ich kto nim nie częstuje, i mają to sobie za uchybienie istotne. Ani się godzi nazywać prosto po imieniu ich żony, siostry lub dzieci, ale koniecznie od urzędu: tak dalece, że urząd nie tylko okrywa i zdobi całą familią, ale się nawet każdy urzędnikiem rodzi i można częstokroć widzieć znakomitych dygnitarzy, prowadzonych na paskach, lub igrających w piasku. Ko-

biety zaś nierównie są żarliwsze o zachowanie spadających na nie przez męża tytułów, dostojności i zaszczytów. Na co największą mają uwagę w towarzystwach i schadzkach, bądź prywatnych, bądź publicznych; a w czem się przytomnym bardzo pilnować należy, ażeby im nie uchybili, pod karą szyderstwa i wiecznej niełaski. Tu znowu, nie tylko same mają stopnie i urzędy, ale je nawet nadają ławom i stołkom, których wartość nie tak idzie podług godności tych, co siadają na nich, jako raczej sama tę godność nadaje. Jaka taka więc spogląda chciwem i zazdrosnem okiem na najdostojniejszy stołek; podsuwa się nieznacznie, lecz gwałtem, ku niemu, potrąca niekiedy drugie, starając się je przez to poniżyć, lub, częstując wszystkie pogardą, zdobyć wstępnym bojem mniemaną wyższość i dójść do zamierzonej mety. A broń Boże ją, która podsiędzie i do pożądanego stołka nie dopuści; zły humor trwa przez całą schadzkę, przekąsy i ostre przymówki dotykają wszystkich, co się nawiną; mąż łajany będzie przez cały tydzień, a częstokroć następuje gwałtowna choroba, dla której doktór długo nie odchodzi od łóżka. Ale ta, co podsiadła, może się za to wcześnie porachować z sumieniem, będzie albowiem nielitościwie przetrząsana cała jej rodzina; będzie palcem wytknięta niezmierna familij na niższość, jeżeli nie podłość. To samo ubieganie się o pierwszeństwo następuje; gdy wychodzą z sali do sali, bądź dla tańców, bądź dla jedzenia. Naówczas, każda się stara być pierwszą we drzwiach, bieży do nich jak w najważniejszej sprawie, a biada wszystkim, jeżeli ją która uprzedzi.

Dla zachowania zaś pamięci i dowodów swojego rodu, dla wyprowadzenia go z jak najodleglejszych czasów, mieszkańcy całego państwa Laputy, a mianowicie wyspy *Balnibarbi*, robią z całego rodzeństwa mappę, i tę dla wiadomości wszystkich ciekawych, rozwieszają na ścianach. Mappy takowe, które gościom i sąsiadom z największą skwapliwością tłumaczą, mają postać drzewa, na którem całe rodzeństwo w kratkach siedzi lub kółkach, ale tak, że pierwszy założyciel familii osadzony jest na pniu; inni z niego pochodzący na gałęziach, jak wróble; a ostatni nakształt motylków, na drobnych gałązkach, które giną w powietrzu. Laputowie mają za rzecz z siebie oczéwistą, że, im takie drzewo rozłożystsze jest i bujniejsze, tym większy zaszczyt domu. A zatem, że bardzo jest wątpliwa rodowitość tych, którzy jeszcze z krzewu nie wyszli, i na jednym arkuszu się mieszczą; jasna zaś, owszem świetna i niezrównana owych, którzy na rozłożenie i wygodne rozpostarcie całego rodu, libry lub rezy potrzebują.

Myślałem nieraz, przypatrując sią takim drzewom, że Laputowie muszą pierwiastkowo wyrastać z ziemi, a zatem, że ich familie muszą mieć odrębne swoje i od innych ludzi różne początki. Bo skądżeby się wziął ów pierwszy założyciel na pniu siedzący? Samo jego położenie i niedostatek kratek pod nim pokazują, że z ziemi wyrosł: bo nie ma ani ojca, ani matki; chybaby ci ukrywali się pod ziemią i siedzieli na korzeniach, tak jak ich potomkowie na gałęziach. Aleby to było oczéwiste oszukanie, to tylko pokazywać z swojego rodzeństwa,

co się nad ziemię wzniosło. Wszakże Laputowie, jakem się przekonał później, robią to w dobrej wierze i sposobem bardzo niewinnym. Tego tylko nigdy pojąć nie mógłem, jak ciż Laputowie, wywodzący początki swoje z pniów i gałęzi, wierzą i równie są mocno przekonani, jak my Europejczykowie, że cały rodzaj ludzki od jednego pochodzi człowieka. Zkąd zdaje się wypadać, że innych klas ludzie jednego są z nimi rodzaju i równie mają szlachetny początek, a co się z teoryą drzew rodzajowych nie zupełnie zgadza. Rozmawiałem o tem z niektórymi uczonymi, którzy się tłumaczyli, iż założycielami familii są ludzie, którzy się wynieśli przez zasługę, talent, niekiedy przez zbrodnie, a najczęściej przez odebrane łaski. Dodali i to, że ostatnich najznakomitsza jest liczba; że skoro się rodzeństwo jakie na wiele rozdzieli gałęzi, starają się tylko okazać że mają swój pień, nie uważając, jaki był jego początek.

Nie mógłem wszelako przestać na tem objaśnieniu uczonych: bo mi się zdawało, iż takim sposobem wielkie drzewa nie są zaszczytem tych co je rozwieszają po ścianach, wyjąwszy przypadek powstania familii przez zbrodnie. Inaczej przypominają tylko i wymawiają niejako następcom, że się niezmiernie oddalili od szczepu, który cały ich ród zaszczycił. Pytałem się niektórych właścicieli drzew wielkich: czyby nie woleli siedzieć na samym pniu na miejscu pierwszego ich założyciela? Wszyscy odpowiadali zgodnie, że nie: bo zaszczyt właśnie należy na oddaleniu się od niego. Myślałem więc w duszy, że on tym bardziejby na ich miejscu być

nie chciał. Przyznać wszakże potrzeba, że i ten rodzaj jeografii ma swoje użytki. W wątpliwych albowiem przypadkach, można każdego krewnego poszukać na mappie i z położenia ocenić jego wartość, tak jak się wyciąga z mappy geograficznej szerokość i długość miejsca. Rzecz dla pływających arcypotrzebna.

Tak zaś jest przytem drażliwy i zawzięty ród mieszkańców całego królestwa, iż, broń Boże, jeden drugiego lub jego parę choć najmniej obrazi, zaraz sobie zaciętą wypowiadają wojnę, którą toczą rozmaitą bronią dopóty, dopóki jeden drugiego nie zabije; lub mu przynajmniej oka nie wyłupi, albo nosa nie utnie. Takowe nikczemne burdy i czuby okraszają imieniem honorowej walki, z którą się lubią popisywać, i którą mają za zaszczyt. Jak gdyby mogła być, u dobrze myślącego, śmierć honorowa inna, oprócz tej, którą za kraj własny ponosi; i jakby zrobienie burdy i pozbawienie kraju pożytecznego obywatela, nawet tak nazwanem dobrem wychowaniem i najlepszym tonem pokryte, mogło za co innego uchodzić w obliczu rozumu, jak za haniebną zbrodnią. Przyczyną zaś urazy, albo bywa niewłaściwe i mogące się komu nie podobać stąpanie, albo nieuczczenie kogo godnością, jaką sobie sam w głowie nadał, albo użycie przez nieostrożność jakiegoś wyrazu, który może mieć dwojakie znaczenie, a który obrażająca się strona na krzywdę swoją tłumaczy i naciąga. Czasem samo bywanie w jednem miejscu, lub ubieganie się o coś pożądanego, oburza strony i do wypowiedzenia sobie wojny podnieca. Dziwna rzecz, że podobne wybuchnienia nie-

sfornego zuchwalstwa i nieznośnej dumy, dotąd w kraju skądinąd oświeconym uchodzą. Ale też rząd królestwa zakazuje tych partykularnych wojen wszelkim sposobem. Co tyle tylko sprawuje, iż się odbywają potajemnie; chociaż o tajemnicy tej zawsze i wszyscy wiedzą.

Akademja projektystów w Logado, troskliwa nie tylko o dobrą sławę wysp, ale razem o powodzenie i dobry humor wszystkich ich mieszkańców, podała względem tych ulubionych zatrudnień swoich ziomków, rozmaite myśli i widoki. Tak naprz. ponieważ spotykające się w towarzystwach nieznajome osoby nic o wzajemnych tytułach i dostojeństwach nie wiedzą, a znajome o nowo nabytych wiedzieć nie mogą; przez co łatwo wzajemne rodzą się urazy: zatem, żeby tej nieprzyzwoitości i wynikającym ztąd niechęciom zapobiedz, radzi akademia: ażeby wszyscy mieli przyszyte do sukien, płaszczów opończy, szub, szlafroków lub czapek, miedziane tabliczki z wyrytemi na nich tytułami, lub ze znakami wyrażającemi urząd. Tak naprz. oddający sprawiedliwość urzędnik mógłby się oznaczyć przez szalkę, na której prawda zawsze idzie do góry; wielki dygnitarz przez wydęty pęcherz; officyalista przez nienapchany wór; dworak przez lisa; kommisarz przez wilka; a człowiek prawdziwie zasłużony przez zero. Dodaje projekt, ażeby na domach były podobne tablice ze znakiem dostojności i z dołożeniem JO. lub JW. gdyż tym sposobem każdy wchodzący do domu wie, z kim ma mieć do czynienia i jak go szanować. Nakoniec, ażeby po-

jazdy, służący i konie nosiły na sobie podobne zaszczyty osób, do których należą.

Co się zaś tycze wielkich owych drzew familijnych, tedy akademja życzy: ażeby odtąd tak znakomite skarby nie ukrywały się pod dachami i nie poniewierały po gołych ścianach; ale, żeby były okazale wystawione na widok publiczny i stały się uwielbieniem i podziwieniem całego ludu. Radzi więc, ażeby używszy na to mocnych pni dębowych, drzewa takowe stawiać przed każdym domem, na środku dziedzińca, nakształt gołębników; a imiona lub wizerunki familijne w klatkach na gałęziach rozwieszać. Tym sposobem, każdy przyjeżdżający na samym wstępie pozna, z jakim ma domem do czynienia i jak go ma szanować; a z wielości klatek, jednym rzutem oka osądzi, wiele ten dom wydał ptaszków. Niektórzy radzili zamykać takowe drzewa w obszernych i mocnych szrankach; a to przez uszanowanie, ażeby rozmaici dworscy: jakoto, woźnice, pachołki, kucharze i t. d. nie włazili na nie. Co inni mają za niepotrzebną ostróżność, sądząc: że się tych zdarzeń i ustrzedz niepodobna, i że to bynajmniej drzewom nie szkodzi.

Nakoniec, co do chęci i pobudek zabijania się i kaleczenia nawzajem, radzi akademja: ażeby powyznaczać osobne na to komisye, któreby kodex chodzenia i mówienia dla wszystkich mieszkańców przepisały, z postanowieniem: że kto podług wzmiankowanego postępuje kodeksu, nikogo nie obraża, i na wojnę wyzywanym być nie może. A gdyby kto był, pomimo tego, wyzwany; komisya ma wziąć wszystkie jego członki pod bezpośrednią swoję opie-

kę, i żadnego nie pozwoli obcinać, ani szpecić. Ktoby zaś przepisany kodex przestąpił, komisya roztrząsa i stanowi w pełnem zebraniu: *naprzód*: Czy przestępstwo jest rzetelne? *powtóre*: Jaki ma być członek za nie odcięty? Występującemu więc na plac przepisuje uciąć tylko nos, palec, lub ucho. Czego gdyby przeciwnik nie dotrzymał, i zamiast ucha odciął naprz. głowę; ma być wyciągniona prawdziwa cena odciętej części naprz. czy głowa warta jest ucha lub nogi? a jeżeliby odciął nad przepisaną wartość; resztę familii skrzywdzonego winien dopłacić. Na ten koniec ma być postanowiony komitet, który ułoży tablicę rzetelnej wartości członków w rozmaitego stanu osobach, i tę drukiem ogłosi.

V.

Z logiki: Co to jest rozum?

Rozmowa w Niemieży. [1])

Piękna to i pożyteczna rzecz odbywać drogi. Co moment można się czegoś nauczyć, a najczęściej tam, gdzie się człowiek najmniej spodziewa. Ktoby naprzykład pomyślił, żeby można w karczmie Niemieżańskiej trafić na mądrą rozmowę? a przecież ja trafiłem i na dosyć ważną.

Nie z potrzeby ale z nudy, o którą u nas i podczas karnawału nie trudno, wsiadłem do sanek

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 66 z d. 9 marca 1818 r. str. 37—40 (P. W.)

i pojechałem do Niemieży. A że opisującym podróże zawsze się powinien zdarzyć jakiś nadzwyczajny przypadek; więc powiem tymczasem, że się i mnie dwa zdarzyły; bo naprzód w pół drogi spotkał mnie wiatr ze śniegiem, a pod samą Niemieżą żyd pocztą jadący. Ten tak pędził trójką, iż mię nie mogącego zdążyć na bok, zawadził na grobli i nielitościwie przewrócił. Byłaby to właśnie pora pięknego opisania tych okropnych zdarzeń; ale przepraszam miłośników i miłośniczki podróżnych romansów, że teraz samę tylko rozmowę w karczmie wiernie i co do słowa opiszę; ręczając słowem autorskim, że nic nie przydaję i nie ujmuję. Wszakże spodziewam się, że literatura nasza nic na tem nie straci, bo ja tak dbam o jej pomnożenie, iż, jeżeli ważne zatrudnienia i nieoszacowane zdrowie pozwolą, wydam krótkie opisanie tej podróży we dwóch tomach in folio, gdzie całą naukę o kołdunach obszernie wyłożę i rycinami objaśnię, a gdzie i zdarzenie na grobli z przyzwoitemi uwagami nie zajmie więcej nad pół tomiku.

Zbliżając się tedy do karczmy spostrzegłem stojące parokonne sanki z miasta, tudzież dwoje sań większych, z których jedne miały porządną budę. Wniosłem więc, podług wszelkich prawideł Logiki, że tu musieli być i podróżni, i mieszkańcy naszego kochanego miasta, którzy, równie jak ja, uciekali przed nudą. Wszedłszy do śrzodka, zastałem kilka osób mocno rozmową zajętych, którą tu umieszczam; odkładając do samego dzieła moje nad nią uwagi.

Ktokolwiek ma choć lekkie wyobrażenie au-

torskiego kunsztu, przyznać musi; że to jest właśnie pora, dać piękne i obszerne opisanie osób należących do tej gadaniny. Jakoż i ja długo o tem myślałem, ale że tyle ważnych rzeczy w pół arkuszowym świstku pomieścić niepodobna; więc to odsyłam do prospektu przedsięwziętego dzieła, który myślę zawrzeć w szesnastu arkuszach. Tymczasem zaś, tyle tylko powiem, żem zastał siedzącą na kanapie nie bardzo już młodą damę w szubie, z kapeluszem na głowie i z szyją szalem obwiniętą. Przy niej siedział podeszły mężczyzna w sutych siwych baranach, z uszatą czapką w ręku. Przy piecu stał w mundurowym surducie młody mężczyzna z ogromną lulką w ustach; a naprzeciw niego w polskim ubiorze i z wyciętém lisiém futrem mężczyzna otyły, wydający z siebie, kiedy niekiedy, ogromne kłęby tytuniowego dymu. Po izbie przechodził się młody kawaler w jasnym płaszczu, z wielkim kołnierzem o kilku lub kilkunastu piątrach. Drugi, w podobnym ale mniejszym płaszczu i z mniejszą liczbą piąter, stał przy oknie. A że wchodząc ukłoniłem się całej kompanii, zatem odkłonili się wszyscy i na moment umilkli. Lecz skorom siadł, a z ułożenia mojego coś dobrego, jak widać, wróżyć poczęto; obrócił się ku mnie Jegomość w lisiem rozpiętem futrze, i tak mówić począł:

Proszę się, Mości Dobrodzieju, z naszych rozmów nie gorszyć, mówimy tu o rzeczy dosyć ciekawej. Proszę, do czegoto przyszło. Ci Ichmość, (wskazując na dwóch młodych) utrzymują, że nasz kraj nie dosyć jeszcze oświecony. Mniejsza o to... Ale co gorzej, powiadają, że u nas mało jest

ludzi prawdziwie rozumnych. Czy można prawić takie dziwactwa!... Ha! moi Panowie, cóż to WPanowie nazywacie rozumem?

Spojrzałem więc na obu paniczów, czekając co powiedzą; gdy stojący przy oknie tak się odezwał:

„Któż też tego opisania potrzebuje? Nie masz żadnego cokolwiek okrzesanego człowieka, któryby nie wiedział co znaczy rozum; a uczeni dawno go dokładnie opisali, chociaż nie wszyscy jednakowo“.

„Dajże pokój twoim uczonym, odezwała się dama; ja ich mam za bardzo niewłaściwych w tej materyi sędziów. Ichmość cały rozum zabierają dla siebie, a nam nic udzielić nie chcą. Jeżeli się zaś w opisaniu nie zgadzają, to dla tego, że każdy piszące patrzy na siebie, i radby swoich kolegów puścił z niczem. Oprócz tego, Pan Sędzia (wskazując na Jegomości z wyciętem futrem) dobrze mówi, że co innego jest nauka, a co innego rozum. A jabym nawet rozumiała, iż ten ostatni często w nauce utopić i stracić można“.

„Mylisz się, kochanko, odpowiedział Jegomość w siwych barankach. Chciałaś zapewne mówić o rozsądku, który daleko jest rzadszy jak rozum; którego nauka nie daje; a który namiętności przytłumiają. — Dlatego nie dziw, jeżeli uczeni, w których pospolicie większa jest próżność jak nauka, często się z nim mijają, a niekiedy i rozstają na zawsze. Prawdziwy zaś rozum, nie tylko w nauce nie ginie, ale się owszem przez nię poleruje i zaostrza. Bez niej byłby materyałem surowym, który ma wprawdzie swoję wartość, ale którą przez prze-

robienie i wykształcenie podnieść i dziesięć razy pomnożyć można".

„Może to być, odpowiedział P. sędzia poprawując pasa. Wszelako ja sądzę o rzeczach ze skutku, i przyznam się, że w rozum WPaństwa uczonych nie bardzo wierzę. Jeszcześmy dotąd nie widzieli, żeby się który na co wyniósł lub zrobił majątek, a u mnie rozum na tem zależy. Nie prawda? Mospanie assesorze!" (obracając się do stojącego przy piecu Jegomości z czerwonym kołnierzem).

„Prawda, odpowiedział assesor, przedmuchując cybuch. Ja nawet nie pomnę na co się nauka przyda. Gdybym ja Ichmościów, pokazując na dwóch paniczów, posadził w kancelaryi, albo posłał na śledztwo, pewien jestem, żeby żaden nic nie potrafił. Niepotrzebnie Pan podkomorzy syna i synowca do akademii oddaje. Na co się to przyda?—Koszt tylko próżny!"

„Miałbyś WPan racyą, odpowiedział panicz z kołnierzem kilkopiętrowym, gdybyśmy się chcieli formować na assesorów".

„Źle odpowiadasz, Michasiu, odezwał się Pan podkomorzy—w każdym stanie oświecenie jest potrzebne. Daruj Mości Panie assesorze, jego żywości; nadto jeszcze jest młody, a zatem bez doświadczenia i uwagi. WPanu zaś, jeżeli pozwolisz, tyle tylko odpowiem, że ja mam naukę za istotnie potrzebną; bo tak trzymam, że kto się nic nie uczy, ten nic nie umie".

„Przepraszam, zawołał P. sędzia, A myżto, co w akademii nie byli, to mamy nic nie umieć?—Jaż przecie, nie chwaląc się, piąty raz obrany sę-

dzią, i byłem już na dwónastu ekscywizyach? [1]) Oprócz tego, człowiek w potrzebie i regenta zastąpi. A ichmość w czem swój rozum pokazali?

Podkomorzy. Michaś jeszcze młody i dopiero nauki zaczyna; ale Pan Hippolit, (był to widać stojący pod oknem) znacznie z nauk korzystał. Wcale jestem z niego kontent. Lubi pracę; czyta wiele i zaczyna nie źle pisać.

P. Sędzia. Czy tak!—A cóżto Jegomość pisze?—Czy nie „Wiadomości Brukowe"?—Bo podług WPaństwa, to może i Szubrawcy mają rozum.

Podkomorzyna. Nie można im go zupełnie odmówić.

Assesor. A zmiłuj się Pani! jeszczeż tego od nikogo nie słyszałem. Śliczny mi tu rozum, wytykać ludziom ich przywary lub ułomności, i z nich się naśmiewać!—A onižto święci?—Ale słyszałem ja, że na Ichmościów jest projekt gotowy. Spodziewam się, że ich wkrótce nauczą rozumu, i że się im odechce uczyć go drugich.

Podkomorzyna. Nie chcę ja ich bronić, bo żadnego z nich nie znam; ale mi się zdaje, że oni tej pretensyi nie mają i o swoim rozumie nie trzymają tak wiele. Że się zaś śmieją z ludzkich ułomności lub pomyłek, to może być rzecz nienaganna, aby tylko nikogo w szczególności nie szarpać.

Assesor. Znamy my niektórych i zobaczymy się z Ichmościami w swoim czasie (tu assesor za-

---

[1]) Eksdywizyą nazywano w dawnej Litwie podział majątku ziemskiego między wierzycieli. (P. W).

czął coś nucić pod nosem, i z ukosa spoglądając po izbie się przechodzić).

P. Sędzia. Daj im pokój, mój assesorze; to są głowy bez mózgu. Ręczę ci, że żaden z nich niczem nie będzie. Zapłacą im jak warci... Dawne to i dobre przysłowie: „Jak sobie kto pościele, tak się wyspi". My tymczasem wróćmy do naszej materyi. Ja, jak jestem przekonany, tak radzę—odebrać te dzieci z akademii: bo się tylko bałamucą i w życiu do niczego nie dójdą.

P. Michał. A do czegóżbyśmy to inaczej dójść mogli? Toby nam może Pan sędzia radził, applikować się przy jakim regiencie?...

P. Sędzia. Dalekoby było lepiej. Nie dla tego, żebyście kiedyś w subselliach stawali; bo tego nie potrzebujecie; alebyście się usposobili do urzędów; a gdyby się udało, możnaby pochwycić jaką ważną plenipotencyą, ot i dosyć... Ah! wszakto majątek Mospanie!

Podkomorzy. A toż na co? Znałem ja wprawdzie i mam plenipotentów słusznych ludzi; wszelakobym ani synowi, ani synowcowi mojemu takiej funkcyi nie życzył.

P. Sędzia. Wstydź się WPan! Czy może być co lepszego i rozumniejszego! To są prawdziwie place dla ludzi z głową. Nie widzisz WPan, jak do niektórych prędko i zgrabnie majątek pryncypałów przechodzi? A czy traktował który z nich nauki? Jako żywo... To pryncypałowie się uczą... i jak uczą... uczą się w domu; uczą za granicą! a gdzież ich rozum? Tracą co mają.... a u mnie ten ma rozum co nabywa.

Podkomorzy. Prawda! jeżeli nabywa godziwie... ale...

Assesor z uniesieniem. Coto, ale!... ale ja widzę pojazdy, srebra, dostatki, gustowne sprzęty, stół smaczny, dobrane towarzystwo, kosztowne wieczory; a to wszystko iest owocem bardzo krótkiego czasu; czasem zaledwo trzyletniego około interesów mozołu. Moi Panowie, któryż wasz mędrzec tego dokazał? nawet po najdłuższem życiu i ciągłej pracy! Wierzcie mi, wszyscy wasi mędrcy są ludzie bez mózgu! JWPanomżeto ich naśladować.

P. Sędzia. Dobrze mówisz. Nauka! . . . . . to właśnie potrzebny mozół dla człowieka dobrze urodzonego! Napatrzyłem się ja teraz w Wilnie, jak tylko ci, co mają majątek, lub co go robią, są w znaczeniu i poważani powszechnie.

P. Hippolit. Mylisz się, P. sędzio, i krzywdzisz naszę publiczność. Są tacy, co się znają na ludziach. Prawda, że są towarzystwa, które tak postępują jak WPan mówisz i które szacują tylko imie ludzi z majątku, bez względu na sposób, jakim go kto nabył lub nabywa.

Podkomorzy. Na nieszczęście i to prawda. Żyjemy w takim czasie, gdzie nie wszyscy wzbogacający się warci szacunku, gdzie powstaje bardzo wiele majątków nowych, gdzie wiele dawniejszych domów upadło, a odwieczne ich dobra przeszły w naszych oczach do plenipotentów, komissarzy i ekonomów. Przecież ja nie sądzę, żeby to było dziełem ich rozumu, albo nawet dowcipu; a tym mniej poczciwego rozsądku.

Assesor. I jak jeszcze!... i jakiego rozumu!

Zdałby się nam wszystkim taki. Czy widzieliście WPaństwo choć raz którego z tych panów? Wszakto aż miło! Twarz wesoła, czoło wypogodzone, protekcyjny uśmiech w ustach; nie sąż to znaki szczęścia i pomyślności? Gdzie który wnidzie, wszyscy powstają; ledwo usta otworzy, otaczają go naokoło. Widać podziwienie we wszystkich twarzach, uszanowanie w każdej postawie, wszyscy spoglądając po sobie mówią nieznacznie... Ot to głowa! — A co do dowcipu, ma go każdy wiele chce. Tylko co ma mówić, już się wszyscy śmieją. A toż nie dowcip? To pewnie nie mają rozumu?

P. Michał. Piękny to rozum.—Ja im go nie zazdroszczę.

Assesor. Tymci gorzej!—A nasz Pan Pafnucy, niegdyś sędzia i goły, jaki potem pan!—a przecież się takim nie rodził.

P. Hippolit. Czemuż nie, kiedy w namowie majątki kupował.

P. Sędzia. A toż nie rozum! Moi panowie, porzućcie bałamuctwo!—Czego się wy uczycie? Nie widzicież oczéwiście, że wasz rozum i wasza nauka jest głupstwem? Wreszcie, jeżeli taką macie do nauki ochotę, uczcie się procesu. Toż przynajmniej jest prawdziwa nauka!... to grunt rzeczy!... to sama treść rozumu! — Piszcie dokumenta i dekreta; ale piszcie tak żeby nikt nie rozumiał; albo żeby każda strona była kontenta; — otóż i pewna droga do szczęścia — a wtenczas każdy przyzna, że macie rozum.

Podkomorzy. Oj nie, Mospanie sędzio!—Cnotliwi tylko są prawdziwie rozumni. Bo tak się mi zdaje, i tak trzymali wszyscy gruntowni mędrcy: że ten tylko jest prawdziwy rozum, który prowadzi do cnoty i na jej pełnieniu zależy. Bo taki tylko rozum jedna prawdziwy i trwały szacunek; taki tylko daje zupełną spokojność sumienia, bez której nie masz szczęścia na ziemi.

P. Sędzia. Otóż to mądre koncepta! — Pozwalam, że to rozum WPana mędrców; ale przywieźno choć jednego do nas na Sty Józef — ciekawy jestem, jak z takim rozumem odbędzie choć jedne kontrakta, albo choć jednę eksdywizyą? Zobaczę, jak w potrzebie dostanie pieniędzy? Dziękuję ja WPanom za taki rozum.—Ot nasz Pan Bonifacy, jak prędko do majątku i znaczenia przyszedł, to mi to rozum!

P. Hippolit. Jakto? dlatego, że umie z asa trójkę, a z trójki asa zrobić.

Assesor. Mniejsza o to; ale wszędzie bywa; wszędzie go dobrze uważają, wszędzie cenią wysoko; a co więcej, zawsze ma pieniądze.

P. Sędzia. Oj prawda! — Niejednego on panicza rozumu nauczył!

Podkomorzyna. A bodaj on zginął z takim rozumem. — WPanże przecie masz syna, i śmiesz chwalić takie postępki!

P. Sędzia. Prawda że mam, ale go do miasta nie oddam. Nie chcę ja, żeby miał taki rozum, jak ci Ichmość, coto jeszcze bez wąsa, a już starych rozumu uczą.

Podkomorzy. Ja tego jednakże w nich nie widzę.

Podkomorzyna. Wszakże oni panu sędziemu w niczem nie uwłaczają; a że są innego zdania, to nie jest grzechem. Ani mój mąż, ani ja, nie jesteśmy WPana zdania; bo czyż można ludzi złych i występnych rozumnymi nazywać, dla tego, że im się dobrze dzieje? — Tym sposobem każdy, co się przez kabałę wyniósł; co, dopadłszy choć na krótko urzędu, dobrze się obłowił; co z opieki sierot powstał; co się z pod sądu zręcznie wywinął; co siedzącego na placu poczciwego i szanownego urzędnika dobrze oczernił, lub z miejsca ruszył; co się długów i własnych nawet obligów szczęśliwie wyparł; co sąsiadowi połowę ziemi wydał, lub go przez pieniactwo zniszczył; co słabego zręcznie z majątku wyzuł; będzie cudem rozumu.

P. Sędzia. Alboż nie tak jest?—Przynajmniej to jest u nas rozum oczéwisty; rozum powszechnie chwalony; rozum prawdziwie użyteczny. A WCPaństważ rozum, naco się komu przydał?—A jeszcze go macie tyle gatunków; bo podkomorzy powiada, że co innego jest rozum, a co innego rozsądek, a znowu co innego jakiś dowcip; mądrość... aż strach słuchać!—U nas jest jeden tylko rozum, ale lepszy od tych wszystkich.

Podkomorzyna. Alboż nie znasz, panie sędzio, tych różnic rozumu?—Michasiu, powinienbyś to już umieć. Czy nie możesz tego panu sędziemu wytłomaczyć?

P. Michał. Jeszcze tego doskonale nie wiem. Ale czytałem niedawno, że: „dowcip ma styczność

z pociągiem, rozum upiększa życie, a rozsądek dał szczęściu istność". [1])

P. Sędzia. Przestań WCPan bredzić—co mi tam prawisz za duby? — Ja pogrecku nie umiem.

Podkomorzy. Prawda, że to coś nakształt greczczyzny. Ale dajmy temu już pokōj! — Komu w drogę to i czas. Wy dzieci wróćcie się do miasta, a my, kochanko, jedziemy podobno w jednę stronę z p. sędzią i p. assesorem, więc dokończymy naszej gawędy na noclegu.

VI.

Pisma peryodyczne [2]).

Któż nie wie, jak są potrzebne peryodyczne pisma? Są to umysłowe strawy, któremi nas literackie bractwa w pewnych oznaczonych czasach obdarzają. Więc zwyczajnie jak na ucztach i biesiadach, nie zawsze dobrzy kucharze, a często i muzyka ladajaka. Gdzie atoli lud do tych dusznych posiłków przywyka, wszyscy ich potrzebują, wszyscy do nich tęsknią, jak głodni do obiadu. Wszyscy więc tę pańszczyznową bazgraninę, jak mogą, czytają. A naprzód, nie można się u nas obejść bez gazet. P. sędzia, p. plenipotent, p. komisarz, p. regient, czytają Kuryera, i to od końca. Polityczne

---

[1]) Zob. Pamięt. Warsz. na rok 1818. Nr. 1 str. 110.

[2]) „Wiadomości Brukowe" № 76 z d. 18 maja 1818 r. str. 77—80 (P. W.)

albowiem ludzi obroty mało ich obchodzą; ale oświadczenia, pozwy, termina taksy i eksdywizyi, są materyą bardzo ważną. Dlatego czytają z wielką uwagą; zastanawiają się nad tak obchodzącemi ich zdarzeniami głęboko, udzielają sobie swoich postrzeżeń nawzajem: a jako ludzie z głową, rozpamiętywają, jakby z każdej okoliczności korzystać?—jakby ją na intratę nakręcić?

Inaczej czyta p. podkomorzy, p. starosta, cześnik, skarbnik, podczaszy i t. p. Tych całkiem polityczne zajmują widoki. Urządzają świat, przenikają niezgłębione gabinetowe tajemnice, z najmniejszego napomknienia, z jednego słówka, zgadują najskrytsze myśli ministrów. Nic ich przenikliwości nie ujdzie, nic się nie zdarzy, czegoby wprzód nie byli zgadli. Szkoda, że ich nie słuchano, wszystkoby było poszło lepiej. Wszystkie zaś te ważne sprawy odbywają się nieraz przy złej kawie, mętnem lub kwaśnem piwie, czasem przy żurawinowym ponczu i przy dosyć już u nas zmodnionej a smrodliwej lulce.

Gdy się to dzieje, pani podkomorzyna lub starościna, panny starościanki i t. d. słuchają ciekawie i dziwią się wielkim widokom Jegomości lub Papy. Czasem się wzdrygają i trwożą na odgłos zapowiedzianej przez starostę wojny: wszystko się atoli kończy na strachu.

W miastach powiatowych, tu i ówdzie na pocztowych stacyach, w kawiarniach i po billardach leżą na stole „Wiadomości Brukowe". Za każdem zgromadzeniem się po ich nadejściu, są śmiechy, są i gniewy. Gdzie niegdzie powstają spory. Ma to

pisemko swoich stronników, którzy go bronią, ma i nieprzyjaciół, którzy je łają. Tymczasem coś się czyta, a to w miejscach takich, gdzie nigdy nie czytano. Zaczynamy z tego powodu rozumować, a zatem i myśleć, a przez to samo dzieje się zadosyć istotnemu zamiarowi wydawców. Uderz a słuchaj, powiedział Eurybiadesowi Temistokles, jeżeliście o nich moi panowie słyszeli? Otóż łajcie nas, jak chcecie, ale się nauczcie czytać i myśleć, nauczcie się szanować zdanie publiczne i dbać o nie; przekonajcie się, że nieprawe postępki, choćby najtajemniejsze, wyjawić się muszą i nie ujdą bezkarnie. A naówczas przestaniemy pisać, bo się zamiarowi naszemu stanie zadosyć.

Jeszcze mamy w Wilnie i Tygodnik. Ten dawniej, swojemu imieniowi wierny, zjawiał się regularnie co tydzień. Teraz zaledwo co dwie niedzieli czytelników swoich wierszem i prozą częstować raczy. Dlatego Tygodnikiem być nie przestał. Możnaby wiele powiedzieć na jego pochwałę, ale my wolimy o współtowarzyszu zamilczeć. Oprócz tego nie wypada obrażać pochwałami skromności żyjących, a zatem przyzwociej zaczekać jego zgonu, który, jak z coraz większej słabości domyślać się można, cale nie jest daleki—Szkoda—Dopóty u nas ciężko będzie utrzymać się peryodycznym pismom, dopóki tyle tylko będzie czytających ile piszących; bo to podobno jest nasz przypadek. Dlatego dobrzeby było, gdyby tymczasem niektórzy z tych ostatnich przenieśli się do pierwszej klasy. Powoli może nastaną czasy lepsze, może się liczba czytających pomnoży, może się nasza proza cokolwiek

obrobi i wygładzi, a wiersze może nie zawsze będą bolesne.

Nasz Dziennik co miesiąc się rodzi i to dosyć często! — Poczciwe to dziecko! — Życzymy mu na przyszłość łatwiejszych urodzin i więcej kumów, którzyby go trzymali. Odpuściwszy lekkie niektóre grzechy, ma dosyć pism pożytecznych i ważnych; za to go też rzadko kto czyta. Bo czego też on chce od nas?—Radby, żebyśmy go czytali, a z kilku arkuszy się składa. Oprócz tego prawdziwie nudny. Najczęściej zawalony jakiemiś uczonemi rozprawami. Któżby to czytał?—Nie są wprawdzie u nas poczytniejsze i pisma zabawne, bo nasze damy nie umieją popolsku; a mężczyźni nie mają czasu czytać. A potem, coby też polak dobrego napisał!

A naszże Miesięcznik?—O tym jeszcze nic nie powiemy; dopóki się z sobą nie poznamy lepiéj. Nie pospolity jednakże kaznodzieja!—Obiecał z naszym szlachcicem latać na łopacie. Zaczem, panie szlachcic, myśl o drodze, i jeżeli się brat Połocki rozgrzeszy wsiąść z tobą na czarownicze narzędzie i w kominy zaglądać, lub Łysą górę odwiedzić, powiesz nam, co was w tej podróży spotka? co tam ciekawego znajdziecie?—Tymczasem zaś, daj towarzyszowi przyszłej podróży przyjacielską przestrogę, żeby na Pegazie nie jeździł, albo się o lepszego postarał; bo lichej szkapiny, na której występuje dotychczas, nawet na Łysej górze nie ścierpią, a u nas nieochybnie przed nią nie tylko wszyscy kominy, ale i uszy pozatykają.

To w naszych stronach. A cóż się to dzieje u naszych braci ościennych! — Jaka szczęśliwa pło-

dność!—I gazety i tygodniki i pamiętniki i miesięczniki i ćwiczenia naukowe. I nie lada ćwiczenia! Bo jużci to nie pospolity wynalazek, ćwiczyć nauki! Niedawno narzekaliśmy na niedostatek pisarzy; na grubą w kraju pomrokę. I sprawiedliwie. Bo też w samej rzeczy ciężkie panowało zaćmienie w książkach i głowach, tak jak teraz w kieszeniach. Czego najważniejszą przyczyną było podobno zbyt mocne oświecenie piwnic, z których nieoszacowani przodkowie nasi duszne i cielesne czerpali posiłki; a troskliwi o utrzymanie tego drogiego światła, skrzętnie i cierpliwie podejmowali uczone do Węgier podróże. Ale dziś za to wpadliśmy z jednej ostateczności w drugą. Bo nagle około ostatniego przesilenia zimowego [1]), zjawiło się tak wiele pism, które się podjęły z obowiązku oświecać, że nadzwyczajne to światło, słabe i przywykłe do ciemności, oczy nasze nowym razi blaskiem i to takim, iż jeżeli się wcześnie cała czytająca publiczność nie opatrzy w baldachinki i umbrelki [2]), wszystkim nam nakoniec

---

[1]) Ktokolwiek czyta z uwagą kalendarze, przyznać musi, iż przesilenie dnja z nocą jest właśnie epoką najważniejszych w przyrodzeniu zdarzeń. Wtenczas równo z zaczęciem kanikuły niezmierne zamącenie w mózgach. Wtenczas niejedna głowa idzie do Bonifratrów z ogromnemi guzami (rozumie się, podług Galla, z wielkiemi zdatnościami): wtenczas się psy i wilki wściekają, a cielęta rodzą i t. d. i t. d. Możnaby w tej materyi napisać prawdziwie uczoną rozprawę, ale odsyłamy po nią do pism naukowych.

[2]) Przepraszam za wyraz *Umbrelki,* który nie jest polski. Nie wiem jakbyto zrobić? Ale należałoby im sprawić jakie piękne nazwisko. Możnaby np. nazwać je *Ciemnikami*,

olsnąć przyjdzie.—Autorowie, jak wielkie jakie świeczniki, sieją a sieją światło, w okrąg po całym kraju; a ja, jeden z ubiegających się za niem, tak się zapuściłem daleko, żem ani postrzegł, jak mię wskroś przejęło i tak przepełniło okropnie, że mię teraz samego napadła nieodbita chętka pisania i oświecania nawzajem. Darujcie więc, panowie uczeni, sądźcie jak chcecie, a ja muszę być waszym kollegą. Owszem, zbyteczna pełność światła tak mię rozpiera i dręczy, że mi pisania nie dosyć, muszę głośno nauczać i zachoruję, jeżeli choć w Pacanowie profesorem nie zostanę.—Do ciebie się więc udaję, kochany towarzyszu i przyjacielu *Świstku!* Ty, który obrałeś rektora dla sławnej owej szkoły, ty jeden, możesz dopomódz nieszczęśliwemu bratu twojemu i dać mu tak pożądane miejsce. Nie umiem ja wprawdzie kuć i nie wiem jakie są kóz pacanowskich podkowy; ale za to podejmuję się rozszerzać sposób pisania i najczystszy styl kozi. Upewniam cię, iż w każdym wierszu, a przynajmniej w każdym okresie, czytelników moich onem częstować będę. Nakoniec, jeżeli chcesz być kollegą Szubrawcem, wyjednam ci patent i to, jak sądzę, bez trudności, bomy cię tu oddawna arcy - szubrawcem warszawskim nazywamy. A choć ci się zdarza pobłądzić

---

bo ten wyraz ma tok sienników i dzienników, słów prawdziwie polskich. Możnaby od *przyćmienia*, nazwać je *przyciemkami* lub *zaciemkami*, coby wychodziło na *przyimek* i *zaimek*. Dla bardzo uczonych dobryby był wyraz *oczosłon* albo *wzrokochron*. Dla nas pospólstwa mogłaby ujść *zasłonka*. Ale że to wyraz nadto pospolity, więc niech będzie *Umbrelka*.

i chwalić niekiedy pisma nie do rzeczy, a ganić dobre [1]), wszelako my ci to wszystko, jak kochanemu bratu, przebaczamy. Bądź więc łaskaw! a ja tymczasem wracam do rzeczy. Myślałem nieraz, coto będzie, jeżeli broń Boże, ta sama choroba, która mię dręczy, po całym się kraju rozejdzie. Jakato będzie praca dla lekarzy, wynaleźć na nią piękne greckie słowo! Jaka pociecha i chwała dla tych, którzy go choć pół łokcia uprzędą? Jaki piękny w umiejętności przyrostek? Ale dzięki patryotycznym uczuciom wielu naszych pisarzy, ta obawa i te nadzieje są próżne. Przewidzieli oni takie wypadki zdaleka; a widząc snać na lampach tak nazwanych Argana, albo jeszcze ładniej, *kiękietach,* jak się przez kopułę gazową zbyteczna jaskrawość światła tamuje i tłumi, znaleźli sposób obwijania ważnych myśli swoich w dość grubą gazę. Tak chwalebny i ludzki postępek wart jest uwielbienia. Szkoda, że u nas niema powyznaczanych nagród za podobne literackie usługi. Niejeden pisarz peryodyczny i nieperyodyczny niewątpliwe ma do nich prawo. Wypadałoby więc chyba odwołać się do obywatelskiej gorliwości czytających rodaków, ażeby się na ustanowienie tak dobroczynnego instytutu skojarzyć i złożyć chcieli. Ale i tu przychodzi mi na myśl, że liczba składających się nie byłaby tak wielka. Tymczasem jabym rozumiał, iżby mogły być nagrodą dwa medale, mniejszy i większy: pierwszy z wyobrażeniem nietoperza, a drugi ciemierzycy. Ci zaś, co zawsze chcą pisać jasno i zrozumiale dla wszyst-

---

[1]) Obacz „Pamiętnik Warszaw." na rok 1818 № 2.

kich, powinni być poniżani i prześladowani wszelkim sposobem; a to przez wzgląd na szkodliwe skutki, jakie ztąd wypaść mogą. Z czego się pokazuje, jak kapłani egipscy, od których wszelkiej mądrości początek, że alchemicy, adepci i kompania, postępowali rozumnie, pisząc naprzód sposobem niezrozumiałym dla innych, a po wydoskonaleniu tej sztuki i dla siebie samych. Chwała Bogu, pisarze nasi już wpadają na tę zbawienną drogę.

Rozmaite zaś są stroje, w które ciż pisarze drogie swoje myśli ubierają i obwijają. Bo naprzód, z przyjęciem ubioru francuskiego dla siebie, zaczęliśmy stroić weń i nasze myśli i ta barwa jest teraz najpospolitsza. Są wszakże, którzy mowie swojej dają strój całkiem niemiecki i pną się jak mogą do transcendentalności i ci warci są najwyższej nagrody. Doświadczenie albowiem pokazało, iż nie masz na maskowanie myśli i nadanie im pozoru pełności i jędrności, doskonalszego i szczęśliwiej wynalezionego stroju. Widać, że niektórzy niemieccy uczeni dobrze chłypnęli nilowej wody, a przez to przystąpili najbliżej do prawdziwego głębokich umiejętności piętna, tojest do egipskiej jasności. Są nakoniec, którzy gardzą i jednym ubiorem i drugim, i wolą krój czerkieski, albo z czerkieska-węgierski [1]), jako najlżejszy i najmniej kosztowny. Trudno tylko, na tej maskaradzie myśli, dostrzedz prawdziwej polskiej sukni. Zdaje się albowiem, że używane w wieku zygmuntowskim zupełnie zaginęły.—Za

---

1) Jest na to wprawdzie inny dobitniejszy narodowy wyraz, ale staroświecki i trochę niegrzeczny.

Stanisława wprawdzie Augusta wymyślono krój inny, cale niezły i do naszych potrzeb dosyć stosowny; ale ten nie podoba się, że prosty i mało jest rzemieślników, co go dobrze znają. Owszem, znaleźli się Łowcy autorskiej sławy, którzy pozakładali kramiki czyli tandety wymyślonych od siebie cale cudownych strojów i stroików, któreby radzi wprowadzili w modę. Biada! że na ten lichy towar mało mają odbytu! Inni, jeżeli nie mowie i słowom, to choć głoskom, sprawują to ogonki, to kapeluszyki, to czubki, a nie kontenci, że nam uszy drapią, jeszcze chcą i oczy kaleczyć.

Ale oprócz pospolitej czyli wolnej, nasze peryodyczne pisma pełne są mowy wiązanej, czyli po teraźniejszemu *metrycznej* i *rytmicznej*. Ten rodzaj pisany niezmiernie się u nas rozmnożył. Nikt już wolno pisać nie chce. I lepiej, że się chwycimy metryczności i rytmiczności; bo też to nudna rzecz, jednym zawsze mówić tonem. Spodziewać się należy, że się wkrótce wszyscy nauczymy śpiewać, i to jedni trochaicznie, drudzy daktylicznie, adonicznie, safícznie, a zawsze ślicznie. Owszem, jeżeli ten zapał pójdzie dalej, jest nadzieja, że zupełnie zapomnimy prozy i w potrzebie lub gdy się spotkamy na ulicy, prześpiewywać jedni do drugich będziemy. Zachodzi tylko jedna w tej mierze wątpliwość, to jest: że pomimo całej metryczności, trudno częstokroć rozeznać, czy wiersze są poezyą, czy prozą. W rozmowie wprawdzie przyjdzie to łatwo rozróżnić, skoro wiersze śpiewać się zawsze będą. Ale w druku wypada prosić Ichmość *Wirtuozów*, żeby

zawsze na początku ostrzegli: czy pismo ich ma do prawdy być poezyą.

Nieoszacowani Pegazowi jeźdźcy! pohamujcie proszę ten zapał. Zkąd wam taka ochota do kawaleryi? Czy to zabytki dawnej narodowej skłonności? — Zastanówcie się, że pradziady nasze nie z piórem ale z szablą w ręku konno dokazywały: a chociaż niektórzy i na skrzydlatych występowali rumakach, jak Jan i Piotr Kochanowski, ale to były rumaki dzielne, jakich nie każdy dosiędzie. Teraźniejsze zaś nasze Pegazy im się więcej mnożą, tym się bardziej wyradzać i powszednieć zdają. Niektóre nawet tak są odrażające, iż spójrzeć na nie bez obrzydliwości nie można. Wszelako nieoszacowani ich właściciele na wywłokach tych jeżdżą a jeżdżą. Możnaby się niemal lękać, ażeby, po zejściu Wielkiego Krasickiego, tudzież Trębeckiego i Węgierskiego, nie zaginął prawdziwy rodzaj skrzydlatych wierzchowców: ale nam Feliński, Woronicz, Kropiński i wielu innych, pewną czynią nadzieję, że ten piękny rodzaj utrzymają i następcom swoim nieskażony oddadzą.

VII.

Synonimy.

Człowiek słuszny; dostojny; godny; zacny; uczciwy; poczciwy [1]).

W literaturze, kunsztach i naukach nawet, tak są pospolite mody, jak przy gotowalni. Między in-

---

[1]) „Wiadomości Brukowe“ nr 79 z d. 8 czerwca 1818 r. str. 89—91 (P. W.).

nemi więc, zjawiła się od pewnego czasu moda Synonimów. A jeżeli mogą po innych pismach uczeni i nieuczeni, mężczyźni i kobiety składać te kawałki, odcinki, lub urywki mądrego słownika, zacóżby nie mogły „Wiadomości Brukowe“? Sama sława pisma i zrównanie go z innemi peryodycznemi koniecznie tego wymaga. Tak więc okazawszy krótko a gruntownie niezaprzeczone prawo do tego literackiego wyskoku i jego potrzebę, rzucam dalszy ciąg przemowy, a przystępuję do rzeczy.

Człowiek słuszny. Możemy się śmiało pochwalić, że nigdzie niema więcej słusznych ludzi, jak u nas. Bo gdzie się kto obróci, wszędzie usłyszy dawaną w lewo i prawo pochwałę „Ach to słuszny człowiek.“ A że ta pochwała daje się ludziom tak rozmaitym, iż niekiedy żadnego nie mają podobieństwa do siebie: myślałem nieraz w duszy: Co też to przecie ten wyraz znaczy? Szukając znaczenia wyrazu, idzie się naturalnie do słownika; więc ja do Lindego. Ale tu małom się oświecił. Podług niego *słuszny* jest w znaczeniu prostem to samo, co *rosły*; inaczej znaczy człowieka *dostojnego* albo *uczciwego*. Zaraz mi tedy przyszło na myśl, że człowiek słuszny, dostojny i uczciwy są to wyrazy spółznaczne czyli *synonimy*. Ale na tem nie koniec. Snuło mi się albowiem dalej po głowie, że wyrazowi *uczciwy* odpowiada *poczciwy*; wyrazowi zaś *dostojny* odpowiada *godny* albo *zacny*. Więc myślałem sobie: przymiotniki *słuszny, dostojny, uczciwy, poczciwy, godny i zacny* są to synonimy. Otóż i wynalazek! — A choć się ja znam na nim i uważam, że jest nie pospolity, a zatem

mógłby jaśnieć nawet w Pamiętniku, Dzienniku lub miesięczniku; wszelako niech idzie do „Wiadomości Brukowych.“

Dobrze to jest, powie mi kto; ależ trzeba te wyrazy opisać; wytknąć ich podobieństwo i różnicę. Zgoda. Myślałem i ja o tem, bo wiem, co są Synonimy i chciałem właśnie tłomaczyć się ich sposobem, to jest, co mi ślina do gęby przyniesie; ale nareszcie, gdym się lepiej zastanowił, przyszło mi do głowy, że „Wiadomości Brukowe“ są pismem poważnem i nie dla lada kogo pisanem. Przez szacunek więc i uszanowanie dla czytelnika, którego ni tem, ni owem zbyć nie można, postanowiłem iść raczej za zdaniem powszechnem i opisywać podług mniemania naszej publiczności. Otóż, com zebrał, przynoszę i proszę posłuchać.

Człowiek prawdziwie słuszny powinien mieć cokolwiek dobrej tuszy; bo choć można być z tym przymiotem bardzo suchym, wszelako przystoi słusznym ludziom mieć wzrost piękny, brzuch dobry i nie próżną kieszeń. Pierwsze dwa dary są niejako mundurem słuszności; ostatni istotnym warunkiem; bo bo chudeuszowi ciężko się wykierować na słusznego człowieka. Człowiek słuszny jest rubaśny, jeździ karetą, choćby za cudze pieniądze; nie wiele mówi, ale *sentencyami*, to jest krótko, z pewnością, powagą i miną nakazującą milczenie i wiarę; na nieznajomych spogląda nieco wyniośle, a przynajmniej poważnie, ale razem łaskawie i sposobem opiekuńczym; na niższych patrzy z góry, to jest, z oznaczeniem zupełnem swojej wyższości i godności; jest zaś pokornym, najniższym sługą i nadskakującym

względem wyższych. Człowiek słuszny zawsze się nazywa od urzędu; bo nawet podług słownika, słuszność idzie razem z dostojnością. Bywa tylko wyższych i dobranych towarzystwach; lubo to nie przeszkadza, że może niekiedy odwiedzać i niższych, ale chyba *incognito* i to tylko wtenczas kiedy mają pieniądze.—Człowiek słuszny nie ubiega się o urzędy, ale ma takich, którzy mu je gwałtem nastręczają, którzy go zapraszają na nie, którzy cały regiestr nieskończonych jego zasług umieją na pamięć: bo rozumie się, że człowiek słuszny nie jest bez związków; to jest, nie bez znaczenia w magistraturach sądowych i na sejmikach, gdzie każdy słuszny człowiek ma swoich *kondyktowych*; ludzi także słusznych, ale którzy swoję słuszność i przekonanie oddają za dymy.

Człowiek słuszny daje obiady i wieczory, a przynajmniej na wszystkie obiady i wieczory zaprasza, i tam stara się zastępować gospodarza, wszystkim jest rad i wszystkich przyjmuje uprzejmie. Człowiek słuszny powinien grać w *Bostona;* jeżeli wygra, upomina się o pieniądze, jeżeli przegra, nie płaci; bo któżby się u słusznego człowieka upominał?

Nie można być słusznym człowiekiem bez urodzenia i godności: bo jeszcze żaden lokaj, szewc, ani woźnica, słusznym człowiekiem nie został; wyjąwszy przypadek, gdy mają pieniądze i pożyczają; bo naówczas mogą być bardzo słusznymi ludźmi, póki nie pożyczą. Za to służących i ludzi niższego stanu często nazywamy *poczciwymi*. Zkąd się pokazuje, że człowiek słuszny cale nie ma obowiąz-

ku być poczciwym. I któryżby też dbał o to! lub chciał znosić tę subjekcyą? Człowiek *uczciwy* jest od słusznego jednym stopniem niższy, ale daleko wyższy od *poczciwego*. Owszem: człowiekowi słusznemu nie zawsze wypada być *poczciwym*, ale *uczciwym* zawsze być może.—*Poczciwy* zaś ciężko żeby się wyniósł aż do znaczenia słusznego człowieka; *uczciwym* tylko może niekiedy zostać. Na naszych eksdywizyach, zjazdach granicznych etc., całe zgromadzenie składa się z ludzi *zacnych*, *słusznych* i *uczciwych*. Poczciwi tam chyba przychodzą z obligami, lub w obronie od napaści.

Człowiek słuszny może być dumnym, przykrym, nawet opierzchliwym i nieznośnym; przystoi to jego dostojności. *Uczciwy* i *zacny* powinien być układnym, owszem, jeżeli można, miluchnym. *Uczciwość* albowiem wymaga grzeczności, *słuszność* się bez niej obejdzie, a *godność* nią gardzi. Jej przystoi raczej powaga, a niekiedy i wyniosłość.

Ludzie *poczciwi* albo nie mają długów, albo je regularnie płacą. *Uczciwi* płacą niekiedy; starają przynajmniej płacić procenta, a to w celu postąpienia na ludzi *słusznych*; bo ci albo wcale nie płacą, albo bardzo rzadko i to tylko dla ożywienia kredytu. Pożyczają zaś, gdzie mogą i ile mogą. Ludzie *zacni*, *dostojni* i *godni* są wyżsi nad te wszystkie drobiazgi; wierzycieli swoich odprawują z niechęcią, wzgardą i podziwieniem, że się u nich upominać śmieją.

Ten, co się stara pożyczyć pieniędzy, jest bardzo *poczciwy*, gdy pożyczą. Nazajutrz zostaje *ucz-*

ciwym, w kilka dni *słusznym*, a w rok *zacnym*, owszem bardzo *godnym* człowiekiem.

Wszyscy obywatele srebrnej sali są ludzie *słuszni*. Między nimi są niektórzy i *dostojni*. Ich praktykanci są *uczciwi*. Uczciwość zaś zależy na tem, żeby święcie opłacać obligi kartowe, a nie płacić tym, co gotowe pożyczyli pieniądze. Taka honorowa ustawa przeszła jednomyślnie na jakimś sejmie Faraonowym, ale nie wiem dlaczego jest szanowana przez całą naszę publiczność. Ludzie *dostojni, słuszni i uczciwi* oświadczają eksdywizye, i starają się odprawić wierzycieli z niczem. *Poczciwi* muszą je także niekiedy oświadczyć, ale u nich wychodzą wierzyciele bez krzywdy.

Ile wiemy z historyi, naddziady nasze były *poczciwe*. Po nich nastąpili ludzie *uczciwi*, jakich mamy obraz po wprowadzeniu elekcyi królów—św. pamięci ojcowie nasi już byli i bardzo *zacni* i *słuszni* ludzie. My, nie chwaląc się, jeszcześmy dalej postąpili w *cywilizacyi i polorze*. Co to będzie, jeżeli następcy nasi jeszcze się bardziej wymuskają i oświecą? Co za piękne widoki!

VIII.

Z Medycyny. Juromania.

Choroba nie nowa, ale ciężka, dotąd przez żadnego lekarza nieopisana [1]).

Przyznać potrzeba, że umiejętności fizyczne długo były pomiędzy nami w zaniedbaniu, a z po-

[1]) „Wiadomości Brukowe“ nr 83 z d. 6 lipca 1818 r. str. 105—108 (P. W.).

między innych sztuka lekarska. Chociaż albowiem w tej umiejętności wsławili się i niektórzy rodacy nasi; wszelako sprowadzaliśmy bardzo długo ten towar z zagranicy, tak jak teraz pieprz i imbiér. — Zkąd poszło, iż albo bardzo mało, albo cale nie uważano na nasze własne choroby krajowe, z wielkim uszczerbkiem eskulapijuszowej nauki i szkodą biednych współrodaków. — Jeszcześ kołtun jak kołtun; pisano o nim i w kraju i za granicą; kłócono się nawet oń i potykano, z niemałém rozlaniem, nie krwi wprawdzie i sensu, ale atramentu. Można nawet natrafić w zagranicznych uczonych na bardzo trafne ryciny naszych kołtunów, to na głowie, to na brodzie, to na pejsakach; takusieńkich kubek w kubek, jakie przed laty w Częstochowie i Żurowicy ucinano. Ale *Juromania,* choroba o której mi mówić z obowiązku wypada, żadnego dotąd nie zastanowiła lekarza, tak dałece, że nawet w *apteczce końskiej* najmniejszej o niej nie znajduję wzmianki.

Nie można wprawdzie twierdzić, żeby się ta choroba nie dała postrzegać tu i ówdzie i w innych krajach, lecz tylko *sporadycznie* [1]). Ale nigdzie nie jest tak powszechną, tak dawną i tak gwałtowną, jak u nas. Dla czego ją mam, tak jak kołtun, za naszę własną chorobę; o czem tak jestem z doświadczenia przekonany, że gdyby nam ją kiedy chciał jaki inny naród odebrać i sobie przywłaszczyć

[1]) Chociaż niniejsza rozprawa dla samych się pisze lekarzy; wszelako, gdyby komu z nie lekarzy wpadła przypadkiem w ręce, ma wiedzieć, że choroby sporadyczne znaczą niepanujące, a zatem coś nakształt przypadkowych.

nie pozwolę i całemu światu dowiodę, że jest chorobą *epidemicznoendemiczną* samej Polsce i Litwie, a mianowicie księstwu Żmudzkiemu, właściwą.

Śledząc początki tej choroby w starożytnych pisarzach naszych, zdaje się, że lubo już za *Jagiełłów* i w początkach wolnych elekcyi tu i ówdzie przestrzegać się dawała; ale słaba, rzadka i cale niewyraźna; tak dalece, że jej wybuchnienie formalne i szerzenie się po całym kraju, wieku Batorego nie przechodzi i właściwie do panowania tego króla należy. Odtąd zaś wzmagała się ciągle i szerzyła coraz bardziej po całym kraju, tak dalece: że i w czasach naszych nie tylko straszna ta dolegliwość partykularne osoby i familie, ale nawet całe powiaty i prowincye niszczy i pożera. Jest ona wprawdzie *endemiczna* czyli miejscowa, tak jak kołtun; ale w niektórych powiatach, jak np. w Lidzkim, Oszmiańkim i Trockim, sposobem *epidemicznym* się szerzy. Owszem uważałem, że niekiedy staje się zaraźliwą, i naówczas pilnie się przypatrując, można dostrzedz niektórych punktów środkowych, które są niby jakie ogniska (fomites), wyziewające naokoło zarazę nakształt promieni; a do których niepojętą jakąś siłą chorzy pociągani wszyscy się zbiegają. Takiemi środkowemi punktami były dawniej miasta: Lublin, Piotrków, Wilno i Grodno. Dzisiaj oprócz miast guberskich, które są także bardzo głównemi punktami, każde powiatowe miasteczko jest walnym punkcikiem. Chociaż albowiem tak trzymam, że *Juromania* wszystkim prowincyom dawniejszej Polski jest właściwa; atoli gdy moje postrzeżenia z granic

Litwy nie wychodzą, do niej i o niej tylko mówić będę.

Co się zaś tyczy natury tej choroby i klasy, do której ją odnieść należy, zdaje mi się, że jest zawikłana i tak rozłożysta, iż się zaledwo w dwóch lub trzech klasach zmieści.—Jest albowiem po części nerwowa, przez wzgląd na ciężkie cierpienie i nawiedzenie umysłu; po części humorowa i wyniszczająca, czyli konsupcyjna, dla zbytecznych wypróżnień, które ciągnie za sobą, po części niezrozumiana. Tą ostatnia klasa chorób nie jest wprawdzie od *Nosologów* [1]) wymieniona, bo nie wypada; ale jest najliczniejsza. A lubo wyróżnienie zdaje się być raczej skutkiem choroby, która się pospolicie ciężkiemi suchotami kończy; wszelako tak jest z nią ściśle spojone, iż jej koniecznie i niedostępnie towarzyszy od początku aż do końca; dla czego może się sprawiedliwie uważać za część choroby samej. Wszakże istota jej zupełnie jest nerwowa i należy oczywiście do tego gatunku umysłowych cierpień, w których myśl jedną jest ciągle rzeczą zajęta, a o tej bardzo źle sądzi. Dlaczego podług zdania Boërhaavego [2]) i jego szkoły, wypadałoby mieć chorobę raczej za gatunek *melancholii*. Ja atoli, postrzegając w niej częstokroć poruszenia i czynności bardzo gwałtowne i prawdziwie szalone, wolę ją raczej mieć za osobny rodzaj *manii*. W czem,

---

[1]) Nosologowie są to uczeni lekarze, którzy z powołania szykują choroby w szeregi i dzielą na półki i kompanie lub roty. ,

[2]) Znakomity lekarz w początkach XVIII w. (P. W).

spodziewam się, że się zgodzą ze mną i inni pisarze, zwłaszcza praktycy.

Opisanie choroby.

Juromania nie wszystkie osoby, nie wszystkie stany i nie wszystkie konstytucye równo napastuje. Wymaga albowiem pewnego usposobienia, i okoliczności jej wybuchnieniu przyjaznych. To pewna, że dzieci i młodzież aż do skończenia ośmnastego roku, nigdy jej nie doświadczają. Płeć zaś napastuje tak męzką jako i żeńską. Tę ostatnią wprawdzie mniej często, ale nierównie uporczywiej i gwałtowniej. Co zaś jest szczególnego i właściwego jej samej, a czego nigdy w żadnej innej chorobie nie dostrzeżono, jest to: że jej tylko ulega stan szlachecki. Owszem i między szlachtą, rzadko jej podlegają tak nazwani Panowie; mniej szlachta zupełnie uboga, a najwięcej Pankowie. Ani mógłem do tego czasu dostrzedz, czy to zależy od krwi, która, jak każdy wie, w szlachcie jest insza; czy od sposobu wychowania i życia; czyli też nakoniec od częstszego używania w chłopach specyfiku, o którym niżéj mówić będę.

Ci, którzy są usposobieni do choroby i uledz jej mają, pokazują wczesną do tego zdolność. Nie widać albowiem w nich owych skłonności, jakie są pospolite innej młodzieży. Nie lubią nauk, unikają służby wojskowej, polowanie ich nie wabi, gospodarstwo nie obchodzi, towarzystwa nudzą; rzadko nawet pokazują skłonność do kart lub butelki.—Lubią tylko owe gniazda *Juromanii*, o których wspomniałem wyżej, i uczęszczają do nich, jak gdyby jakąś siłą pędzeni. Tu zamykają się wśród zbutwiałych

papierów; przeglądają je z największą ciekawością; przepisują, starają się naśladować i nanowo pisać podobne. Tu uczą się skrzętnie udawać cudzą rękę; wyskrobywać gładko; rysować na pamięć stare mappy; świadczyć w rzeczach, których nigdy nie widzieli; lub układać, doskonalić i nauczać świadków najętych [1]). Nie masz w ich postępkach żadnej jednostajności, żadnej zgody i żadnego związku. Niekiedy, sposobem najmocniejszych melancholików, siedzą w izbie sądowej zamyśleni i jak przykuci; albo się wśród szpargałów po kancelaryach zamykają i uciekają od ludzi. Często znowu, sposobem maniaków wylatują na wieś, biegają jak opętani po polach, bagnach i lasach, to z motyką, to z rożnem w ręku; tu i owdzie zatrzymują się, zamyślają, skwapliwie czegoś szukają i nakształt prawdziwych górników, to kopią, to rożnem szpikują i dziurawią ziemię.

Zbierają stare kafle, potłuczone butelki lub garnki, te, jak najdroższe upominki, obwijają z uszanowaniem w papier, noszą po kieszeniach lub zamykają w kufrach i skrzynkach. Często porywają się nagle ze snu; budzą wśród nocy ekonomów i do-

---

[1]) Choć to jest okropna hańba, której wspomnieć bez zgrozy nie można, wszelako trzeba sobie samym prawdę powiedzieć. Są u nas, pomiędzy tak nazwaną drobną szlachtą, świadkowie z profesyi, których nająć w każdej sprawie można, a których najmująca strona uczy, co i jak mają świadczyć, i te poczwary, prawdziwe drożdże rodzaju ludzkiego, przysięgają na to.—Cóż dopiero powiedzieć, że sądy takich świadków słuchają. Tubyto można sprawiedliwie zawołać! *O tempora, o mores!*

zorców, zwołują podwody i ludzi. Z tymi albo wpadają zapamiętale do lasu, który wycinają i uwożą; albo rozrzucają z zajadłością małe ziemne lub kamienne wzgórki; zacierają wszelkie ich ślady; zębami ich ledwo nie szarpią.—To znowu, jakimś przeciwnym poduszczeni duchem, ukradkiem w innych miejscach podobne kupki ziemne nakształt kretów budują, zakopując w nie drogie swoje sprzęty poobwijane w papierki. Niekiedy znowu poruszeni prawdziwą szaleńców wściekłością, biegają i jeżdżą jak oparzeni z miejsca na miejsce; rozsyłają po różnych domach ze świstkiem papieru gońców; zapisują oświadczenia, przywołują sędziów, napadają na zboża i łąki, zabierają lub pustoszą, wykradają się nocą na rozmaite najazdy, znoszą z niewypowiedzianą wytrwałością głód, upały, lub zimno; słowem, dają niewątpliwe oznaki skończonej i doskonałej manii.

Kiedy zaś raz szaleństwo do tego dójdzie stopnia, choroba się niemal wyradza w wściekliznę, a przynajmniej ma niewątpliwe z nią podobieństwo. Zajadłe albowiem i spienione *Juromany* rzucają się oślep na swoich sąsiadów lub krewnych i kąsają jak mogą. A jako wściekli boją się wody i uciekają przed nią; tak *Juromaniacy* drżą przed rozsądkiem i sprawiedliwością, a na każdy jej wyrok wpadają w konwulsye.

A lubo choroba zdaje się niekiedy zaraźliwą, wszelako nie jest gorączkową, ale owszem długą i upartą; jeżeli zaś tu i owdzie gwałtowna wybucha gorączka, to bardzo na krótko. Anim mógł dostrzedz jakiejkolwiek skórnej wysypki tej chorobie

właściwej; guzy albowiem i siniaki, jakie często na *Juromanach* postrzegać można, nie zawsze i nie koniecznie jej towarzyszą.

Ale najszczególniejsze symptoma tej okropnej choroby, jest nadzwyczajne rozrastanie się, czyli pęcznienie całego ciała, albo raczej takie chorych rozumienie o sobie; a to do tego stopnia, że się nieszczęśliwym wydaje, jakoby własna ziemia była dla nich zamała, a przeto rozpościerają się gwałtem aż do swoich sąsiadów i odpychają ich jak mogą najdalej. Słyszałem o jednej damie mocno tą chorobą dręczonej, której się wydawało, iż do sześciu mil przestrzeni naokoło zajmować powinna. Wiem także chorego, któremu się uroiło, iż nie będzie siedział wygodnie, jeżeli wielkiego lasu swojego sąsiada nie podgarnie pod siebie i którego ten ledwo znacznym kosztem z sąsiedztwa swojego wyprosił.

Nieco odmienne są symptomata w płci żeńskiej. Chore albowiem starają się jak najmocniej naśladować postępki i czynności mężczyzn. Tworzą ustawiczne i coraz nowe projekta; nie dają się powodować ani mężom, ani krewnym, ale owszem kierują i rządzą nimi. Przedsiębiorąc coraz nowe zamachy, wydają chorobę nadzwyczajną czynnością. Rzadko siedzą na miejscu, przedsiębiorąc ustawicznie i często wielkie podróże; noszą się z papierami z miejsca na miejsce, oblegają sędziów i urzędników publicznych; chwytają ich gdzie mogą, przejmują po domach i na gościńcach, zawsze im tkając jakieś papiery w ręce. Zresztą oprócz biegania z rożnem i motyką, cierpią symptomata do tych podobne, jakieśmy w mężczyznach opisali.

Rozmaite okresy choroby.

Chociaż *Juromania* nie zawsze się w jednej pokazuje postaci, ale podług czasu i miejsca w którem panuje, rozmaite przybiera kształty; wszelako mając wzgląd na najpospolitszą postać, możnaby ją podzielić na trzy okresy. Z tych pierwszy z granic lekkiej melancholii nie wychodzi, i odznacza się szczególną chętką do drabowania wszelkiego rodzaju szpargałów, zwłaszcza noszących na sobie cechę starożytności. Chorzy, pospolicie jeszcze uważani za zdrowych, osobliwie od tych, co do podobnej choroby wyraźną i najpewniejszą mają sposobność, ubiegają się za temi szpargałami skwapliwie, zkąd mogą zbierają, zamykają się i rozmyślają nad niemi; noszą je po kieszeniach; rozwieszają po ścianach, lub za adwokatami pod pachą noszą, z wielką skruchą i pokorą; odzywają się częstokroć językiem barbarzyńskim i niezrozumiałym, który ich koledzy nazywają łacińskim. Przybierają nakoniec minę chorobie tej właściwą, po części poważną, po części zmyśloną i mistyczną. W drugim okresie przywdziewają już poważniejszą postać, mało mówią i udają, że niby myślą; starają się wszelkiemi sposobami o plenipotencyę lub sęstwo, dopóki w trzecim okresie nie wybuchnie szaleństwo, ze wszystkiemi wyżej opisanemi symptomatami. Naówczas wyléczenie choroby bardzo jest trudne i niemal niepodobne. Mają się albowiem nie tylko za zupełnie zdrowych, ale nawet za zdrowszych od innych; w czem ich utwierdzają poczynający chorować lub rzetelnie chorzy, o jakich nietrudno. Wszyscy się albowiem około nich kupią; potakują ich po-

stępkom; wystawują je za wzór rozumu i bystrości; kiedy prawdziwi lekarze na tę chorobę zupełnie są nieczynni i milczą.

IX.

Z medycyny. Juromania.

Ciąg dalszy.

Przyczyny choroby. [1])

Uczeni koledzy moi (bo ja dla nich tylko piszę, mając naturalnie innych za nic) wiedzą, że przyczyny chorób mają także swoje przyczyny, a te jeszcze inne, aż do takich, których nikt nie rozumie: bo na tem treść umiejętności zależy. Otóż żeby ze mną nie postąpili, jak zazwyczaj z innymi kołłegami postępować zwykli, to jest: żeby nie rozumieli, że sami tylko mają rozum, niech raczą uważyć, że i ja, podług wszelkich prawideł kunsztu naszego, odkopałem i wynalazłem i bliższe i odległe przyczyny *Juromanii* (causae praedisponentes et occasionales). Uważałem albowiem nasamprzód, że pierwszą przyczyną usposabiającą jest brak zatrudnienia, czyli życie nieczynne i bez celu. Jakowéj przyczyny może być przyczyną samo położenie kraju nie jeograficzne wprawdzie, ale nibyto statystyczne, niby polityczne. Długość albowiem i sze-

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 84 z d. 13 lipca 1818 str. 109—112. (P. W).

Rozmaite okresy choroby.

Chociaż *Juromania* nie zawsze się pokazuje postaci, ale podług czasu i mie rem panuje, rozmaite przybiera kształty; mając względ na najpospolitszą postać, i podzielić na trzy okresy. Z tych pierws nic lekkiej melancholii nie wychodzi, i o szczególną chętką do drabowania wszelki ju szpargałów, zwłaszcza noszących na so starożytności. Chorzy, pospolicie jeszcz za zdrowych, osobliwie od tych, co do choroby wyraźną i najpewniejszą mają s ubiegają się za temi szpargałami skwapli mogą zbierają, zamykają się i rozmyślają mi; noszą je po kieszeniach; rozwieszają nach, lub za adwokatami pod pachą nosz ką skruchą i pokorą; odzywają się częst zykiem barbarzyńskim i niezrozumiałym, k koledzy nazywają łacińskim. Przybierają minę chorobie tej właściwą, po części pow części zmyśloną i mistyczną. W drugim przywdziewają już poważniejszą postać, m wią i udają, że niby myślą; starają się w sposobami o plenipotencyę lub sęstwo, w trzecim okresie nie wybuchnie szaleń wszystkiemi wyżej opisanemi symptomatami. czas wyléczenie choroby bardzo jest trud mal niepodobne. Mają się albowiem nie t zupełnie zdrowych, ale nawet za zdrowszyc nych; w czem ich utwierdzają poczynający wać lub rzetelnie chorzy, o jakich nietrudno cy się albowiem około nich kupią; potakują

jeżyć (oczéwisty
. Tak zaś zagę-
y, głowy napa-
zagęszczona i ze-
strawę, a przez
zona do głowy,
a ostrości, i je-
, fatalne skutki
nia, przewraca.
wrócenia mózgu,
ptomata.
bszerna, rozbie-
stkie części mó-
ierpi, i jak się
liczne *juromanii*
nie zrozumieli,
wić coś do my-
innych autorów,
e drobiazgi czy-
odnie tłumacząc,
za grosz rozumu.
ków tak szanuję
innym pisarzom
ie nie powiedział,
myślą.
zecież to powie-
ierają i zatrzymu-
gu, która się na-
, jak Kartezyusz
eyą duszy, Owóż
nie, że im więcej
a rozpychają, tym

rokość jeograficzna nic nie znaczy; ale tak mi się zdaje, że póki świętej pamięci przodkowie nasi, raz wraz na granicy pałasikiem machać musieli, o Juromanii ani słychu nie było. Do czego należała bardzo wiele i ówczasowa dyeta, czyli po prostu, sposób życia. Bo, prawdę mówiąc, kiedy na pospolite ruszenie dostojne antenaty nasze oklep z torebką kaszy i paskiem słoniny ruszać musiały, była to cokolwiek ściślejsza dyeta, niż osadzenie kogoś po angielsku na samych biefstykach i porterze. Była przy tem i agitacya: bo się często dybało po kilka mil na dzień; a przytem trzeba też było i konia wychędożyć, napoić, nakarmić i zawerbować cokolwiek strawy dla niego i dla siebie. Co utrzymywało krew w przedziwnej cyrkulacyi; zapobiegało wszelkiej surowości (cruditas) i ostrości humorów (acrimonia); przy tak zdrowej dyecie, pomagały do odwrócenia choroby i częste a obfite krwi puszczenia; nie koniecznie w maju, ale kiedy Bóg dał. Co się działo za pomocą obszernych ran i ostrych narzędzi, dla wypuszczenia grubszych części krwi, a to najwięcej w bliskości głowy, jako części najwięcej cierpiącej. Operatorami zaś byli naówczas Tatarowie i Turcy; nie Włochy i Francuzy, jak w czasach późniejszych...

Z czasem, kiedy posilając się coraz bardziej starostwami, a połykając ich z łaski królów, to po parze to po tuzinku; poznaliśmy i miodek i winko węgierskie, a potem powoli i kucharzów francuskich; kiedyśmy zaczęli posyłać za siebie na wojnę chamów naszych, a sami się to dobrem piwkiem, to miodkiem przy kominku zasilali; zaczęły się

i humory zagęszczać, i czupryna jeżyć (oczéwisty znak ostrości) i *cruditates* zbierać. Tak zaś zagęszczone, a ostre i czupurne humory, głowy napastować zaczęły. I koniecznie: bo zagęszczona i zepsuta krew przez spoczynek i dobrą strawę, a przez miodek i ciepłe piwko nagle popędzona do głowy, tam osiada, zatrzymuje się, nabywa ostrości, i jeżeli wcześnie spuszczona nie będzie, fatalne skutki sprawić musi; bo mózg drażni, zaognia, przewraca. Z jakowego to zaognienia i przewrócenia mózgu, wynikają wszystkie *Juromanii* symptomata.

Nadto byłaby rzecz długa i obszerna, rozbierać i uważać przez szczegóły wszystkie części mózgu, okazując jak każda z nich cierpi, i jak się ztąd poczynają i rodzą rozmaite a liczne *juromanii* symptomata. Nieuczeni by mię nie zrozumieli, a uczonym przecie chciałbym zostawić coś do myślenia, i różnić się przez to od innych autorów, którzy nadto skrupulatnie wszystkie drobiazgi czytelnikom swoim obszernie i dowodnie tłumacząc, nie przyznają im tem samem ani za grosz rozumu. Ja zaś wszystkich moich czytelników tak szanuję i poważam wysoko, iż, sposobem innym pisarzom całkiem przeciwnym, radbym im nic nie powiedział, pewien iż się sami wszystkiego domyślą.

Ale skromność na stronę, przecież to powiedzieć muszę: że najmocniej się zbierają i zatrzymują gęste humory w tej części mózgu, która się nazywa *glandula pinealis,* a która, jak Kartezyusz niewątpliwie dowiódł, jest rezydencyą duszy, Owóż każdy z czytelników moich zrozumie, że im więcej grube owe humory tę część mózgu rozpychają, tym

duszy ciaśniej być musi; a ztąd rodzi się owo czucie ciasności i potrzeba albo raczej chęć rozszerzania się aż do najodleglejszych swoich sąsiadów, i zajmowania kilku mil w około siebie. Ztąd także wynika owa niespokojność, za którą idzie latanie z motyką po polach i łąkach, lub uciekanie od ludzi i zamykanie się ze szpargałami i t. d.

Czyż nie widzisz z tego tłumaczenia, kochany czytelniku, jak natura jest prosta, porządna, i wszystko akkurat tak robi, jak my widzimy. Piękna to rzecz umieć tłumaczyć naturę, i chwała Bogu, że w teraźniejszym czasie wszyscy to umiemy. Nadewszystko wszędzie się przekonywamy, że przyrodzenie nieskończenie jest mądre, a przekonywamy dla tego, żeby się pochwalić nieznacznie, że i my mamy rozum. Ale przepraszam, jest to, jak widzę, choroba autorska, zapuszczać się ustawicznie w filozoficzne uwagi; więc dajmy pokój tym andronom, a wróćmy do rzeczy.

Można tedy dysponujące przyczyny *juromanii* przywieść najistotniej do trzech, a te są: 1) Niedostatek pracowitego zatrudnienia młodzieży. Chcąc tę przyczynę rozbierać na inne przyczyny nadtobym się zapuścił daleko. Zatem, *sat sapienti.* 2) Złe wychowanie, tej mianowicie młodzieży, która w dalszym wieku *juromanii* ulega. Dawniej albowiem, całe to wychowanie kończyło się na nauce łaciny, do którejby się żaden stary Rzymianin nie przyznał; a potem na noszeniu papierów za adwokatami i przepisywaniu szpargałów po kancelaryach sądowych, i ta ostatnia przyczyna trwa w całej mocy dotychczas. Te zaś zbutwiałe i przegniłe szparga-

ły wyziewają, jakem się przekonał, jakąś promienistą istotę, nakształt materyi magnetycznej, niezmiernie szkodliwą, durzącą i równie mocno zmysł czyli organ rozsądkowy rażącą. 3) Miłość kuflów, szklenic i wiwatowych pucharów, która się nabywa, umacnia i doskonali na kondescensyach, [1]) sądach granicznych i eksdywizyach; na których się *juromaniczna* zaraza poczyna, doskonali i szerzy najmocniej. — Możnaby jeszcze dodać i czwartą przyczynę, to jest: niedostatek lazaretów, w ktorych się wcześnie i w samych początkach wybuchającej chorobie zapobiega, a to przez zręczne i dostateczne użycie prezerwatyw. Lazarety te, które nieoświecone pospólstwo domami poprawy nazywa, pokazały się dziwnie skutecznemi w innych krajach, gdzie się tej fatalnej chorobie nigdy wkorzenić nie dano. Ale że uważam, iżby mi ktorykolwiek filozoficzny czytelnik mógł zarzucić, że nieleczenie choroby nie może być uważane za jej przyczynę, a ja się z uczonymi kolegami moimi kłócić nie myślę, więc i o tem tymczasem zamilczę.

Rozbiór ciał zmarłych.

Powiedziałem wyżej, że *juromania* jest chorobą długą, co tak jest wielką prawdą, iż chorzy ci pospolicie żyją póki chcą, a przynajmniej nierównie dłużej niżby chcieli ci, co z nimi mają do czynienia. A że nie tylko sami się mają za zdrowych, ale ich uważają za takich i ci wszyscy, co ich otaczają;

---

[1]) Zjechanie sądu na grunt majątku, o który toczy się spór; sądy zjazdowe w dawnej Polsce (P. W.).

zatem niepodobna jest dobrać się do nich z anatomicznym nożykiem. Ile atoli i sam dostrzedz mógłem i z aktów niektórych rozpłatań prawnych doszedłem, następujący jest stan ich machiny.

Naprzód wszystkie części ciała ważniejsze, jak nogi, ręce i żołądek, przedziwnie są zdrowe; wnętrzności zaś niemal skamieniałe. Krew zła, czarna, gęsta i mocno żółcią zaprawna. Serca zepsute i jak szpargał jaki zbutwiałe. Konformacya zaś głowy szczególna, jakiej się i Morgagniemu [1]) widzieć nie zdarzyło. Czoła albowiem bynajmniej nie mają, nos donośny, uszy długie zawsze sterczące. Mózg nadzwyczajnie twardy i wysuszony. W miejscu zajmującem u *Galla* [2]) organ chciwości i złodziejstwa, są dwa ogromne kopce, które łączy szeroka, tu i owdzie przeorana miedza. I to stanowi niemal całą substancyą mózgową. Ta zaś substancya zawiniona jest w dwie błony, gęsto upstrzone rozmaitego koloru plamami nakształt mappy. Anatomicy dobrze wiedzą, iż jedna z nich nazywa się *dura*, druga *impia mater*. *Glandula* zaś *pinealis* (już czytelnik wie co ona znaczy) leży między dwoma kopcami na miedzy; czarna, zapchana i jak pień twarda.

---

[1]) Morgagni — słynny uczony włoski XVIII stulecia, twórca nowoczesnej anatomii patologicznej. (P. W.)

[2]) Gall — wybitny lekarz. Przypuszczał on, iż na zasadzie badania czaszki, a mianowicie rozmaitych wypukłości i wklęsłości na czaszce, można określać u ludzi za życia rozmaite zdolności ich i władze psychiczne. Na tym przypuszczeniu zbudował on naukę, którą nazwał kranioskopią. Nauka Galla zrazu znalazła zwolenników, później atoli okazała się niewytrzymującą krytyki naukowej. (P. W.).

X.

Z medycyny. Juromania. Dokończenie.

Sposób léczenia. [1])

Czas już, kochany czytelniku, przystąpić do najważniejszej części naszej rozprawy, to jest: do sposobu léczenia. Jestto rzecz nie bardzo łatwa, zwłaszcza w teraźniejszym przypadku: bo wiesz dostatecznie, że ja pierwszy zacząłem mieć uwagę na tę okropną, a na nieszczęście całe nic rzadką dolegliwość; a zatem nie wiele się mogłem nauczyć od poprzedników moich; ale sam postrzegać, zewsząd zbierać i znosić do kupy, jak kwestarz z sakwą, musiałem. A naprzód trzeba, żebyś wiedział, że u nas każda kuracya jest dwojaka; to jest: albo *rationalis* (rozumna), albo (proszę nie rozumieć, że nierozumna, ale) *empiryczna*: co znaczy do słowa, oślep namacana. Tamta układa się podług znajomości przyczyn; na tę zaś natrafiamy przypadkiem: raz my, drugi raz poczciwe nasze staruszki. Bo to zależy od szczęścia; tak jak wygranie w loteryą, albo uchwycenie kogoś w *ciuciu-babkę*.

A ponieważ się pokazało, iż nieczynność, zwłaszcza starej młodzieży, najpierwszą jest choroby przyczyną; że dopóki trzeba było pałasikiem wywijać, nigdy o niej nie słyszano; więc istotna i najpierwsza rzecz jest znaleźć dla dysponowanych do tej dolegliwości, przyzwoite w młodości zatru-

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 85 z d. 20 lipca 1818 r. str. 113—115. (P. W.).

dnienie. Uważałem zaś, że niemaż przeciwniejszego stanu tej chorobie, nad stan wojskowy; dlatego nieźleby było, tylko co poczynających chorować dobremi sposobami do wojska nakłaniać; chorujących zaś, gdy inne sposoby nie mogą, brać prosto pod karabin. Ten ostatni sposób, ręczę, że w przypadkach najgorszych, i zdesperowanych nawet, nieochybnie pomoże. A że w każdej kuracyi, nie na lekarstwo tylko, ale na pokarmy i napoje największy mieć wzgląd należy, zatem osadzenie dających pierwsze znaki choroby, na chlebie i wodzie, lub na samej kaszy, przez kilka miesięcy, bez przerwy i folgi, bardzo także jest skuteczne, i nigdy zawieść nie może.—Wszystkie rozpalające trunki, piwa nawet i miodu nie wyjmując, powinny być jak najmocniej zabronione; a natomiast pozwolona jak najobficiej czysta źródlana lub rzeczna woda, jako *odwilżająca* (humectans), *chłodząca* (temperans), *rozrzedzająca* (diluens) i *wyprowadzająca* przez poty i urynę wszelkie ostre i zepsute humory. Przytem, ponieważ cała ostrość idzie w tej chorobie do głowy, która się mocno zapala i zaognieniem grozi; przeto chorzy powinni ciągle chodzić z głową należycie wygoloną; siedzieć w wyżej opisanych lazaretach, gdzie im należy głowę wodą zimną jak najczęściej zlewać. O suszenie zaś jej lękać się nie potrzeba, jeżeli chorzy są żonaci; jeżeli nie, wypada im koniecznie dać żony, nie tylko dla suszenia głowy, ale dla rozbijania wszelkich *juromanicznych* myśli. Tak albowiem rozumiem, że na to nie ma w całej medycynie dzielniejszego i pewniejszego środka.

Są, którzy sposobem używanym w innych manijakach, wiązać chorych i zamykać radzą. Jakowy sposób nie byłby wprawdzie zły i bezskuteczny; ale z wielu przyczyn trudny jest do wykonania, zwłaszcza, dla mnóstwa chorych, którzyby się chyba nawzajem chwytać i pilnować musieli, tak, jak się dziś nawzajem sądzą i ochraniają. Myśląc więc długo i biedząc się nad wynalezieniem najskuteczniejszego na ciężką tę dolegliwość lekarstwa, i już prawie rozpaczając: trafiłem szczęściem na jedyny, rzadki i prawdziwie nieoceniony starożytny rękopism; nie w spróchniałem prawdzie znaleziony drzewie, ale który mi jeden z Wielebnych JJ. XX. bonifratrów łaskawie udzielić raczył, jako w ich składzie czy w bibliotece znaleziony. Rozczytawszy się w tym rękopiśmie łacińsko-polskim, dowiedziałem się z prawdziwą pociechą, iż autor, równie jak ja, zatrudniał się leczeniem *Juromanii*; zebrał niektóre postrzeżenia dosyć ważne; a nadewszystko opisał prawdziwy na tę chorobę *specyfik*, którego nawet rysunek przyłączył. Specyfik ten, jak twierdzi kochany autor, trafem, równie jak wszystkie szczęśliwe wynalazki, odkryty został na Żmudzi, przez jakiegoś poczciwego ekonoma. Odżałować nie mogę, że nam autor nie dochował nazwiska tego wielkiego człowieka. Tylem się tylko z niego dowiedział, iż JPan ekonom pierwszy postrzegł nieocenione skutki tego specifiku w naszej chorobie; tudzież że nie był Zmudzinem, ale wędrownym Mazurem; co czyni prawdziwy zaszczyt tej prowincyi i pokazuje, jak posiada oddawna wielką do głębokich umiejętności zdatność.

Rozpatrując się więc tak w opisaniu, jako i rysunku wzmiankowanego drogiego specyfiku, przekonałem się, że to jest roślina u botaników nazwana, *flagellaria bizunoides Linnei,* i przekonywam się coraz mocniej, żem się nie pomylił: bo wizerunek specyfiku bardzo jest trafny. Roślina ta najobficiej się przedtem znajdowała i była najskuteczniejsza około grodu *Bisunopolis,* starożytnej jak widać osady greckiej, którą później w czasach upadku nauk i powszechnym barbarzyństwie wieków, *Boćkami* przezwano. Dziś już się więcej w tej okolicy nie udaje, a przynajmniej nie jest tak skuteczna; co pokazuje, że z upadkiem nauk i gustu zaniedbano jej uprawę.

Tu autor rękopismu pozwala sobie ważnego ustępu, w którym mówi, iż mu się zdaje, że podobnego specyfiku użyto na wyleczenie sławnego *Rolanda,* którego chorobę powszechnie znajomy krotofilny pisarz włoski, *Ariosto,* w rymach swoich pięknie i wiernie opisał. W tem się tylko niceposzlakowany skądinąd autor pomylił, iż podług niego, rozum *Rolanda* znaleziono aż na księżycu, opieczętowany w bardzo delikatnej banieczce, a potem mu skrępowanemu przez nos do głowy puszczono; ale, pozatykawszy wprzód szczelnie inne otwory, ażeby tak subtelny dymek z wiatrem nie uleciał. Wszakże ta powieść najmniejszej nie znalazła wiary: gdyż wszystkie akademie z całego świata jednomyślnie się zgodziły, że po rozum na księżyc jeździć nie potrzeba: bo one mają przywilej na to. Dlatego dowcipniejsi pisarze uważali tę kuracyą za allegoryą, znaczącą po prostu, iż dobrym szczut-

kiem, albo kułakiem w nos, pomienionego francuza uleczono.—Ale i to zdanie uważamy teraz za błędne. Inny albowiem doskonały, równie wierny, a niemniej dowcipny pisarz włoski dowiódł: iż się jego ziomek *Ariost* pomylił, i że *Rolanda* uleczono za pomocą bardzo dzielnego lekarstwa i ostrej dyety. Oto są jego słowa:

Ad Orlando ritornaro la sanitade
Molta aqua, poco pane, e bastonade.

Co ś. p. rymopis nasz Szurłowski tak wytłumaczył:

W Rolandzie wyleczyły zawrot głowy srogi,
Mało chleba, dość wody, a częste batogi.

Ale i tu, darujesz nieoszacowany czytelniku, że cokolwiek zboczę, choć to, co powiem, niekoniecznie będzie od rzeczy. Nie mogę albowiem przewieść na sobie, żebym się przed tobą nie wynurzył, iż mi się ta kuracya włoska nieźmiernie podoba: nie tylko albowiem w całym swoim układzie pełna jest doskonałej mądrości, ale i doświadczeniem wielokrotnem stwierdzona. Rozumiałbym przeto, że ta sama szczęśliwa metoda mogłaby być użyta niemal we wszystkich cierpieniach głowy i serca, które uczeni nasi sąsiedzi od Zachodu chorobami *psychicznemi* bardzo mądrze i doskonale nazwali. Choroba albowiem *psychiczna* znaczy to samo, co choroba duszy; a że my, chorując umieramy, więc pokazuje się, że u naszych sąsiadów i dusza jest w niebezpieczeństwie i ulega zepsuciu. Czemuby

sposób użyty na *Rolandzie* niewątpliwie i bardzo skutecznie zaradził. Ja im zaś z serca dobrego zdrowia i smacznego apetytu życzę; i tak sądzę, że i ty, kochany czytelniku, tego samego będziesz zdania; tymczasem zaś, żebym cię długim ustępem nie nudził, wracam do rzeczy.

Otóż powiedziałem ci, że pod Boćkami specyfik nasz częścią zaginął, częścią stracił dawną swoją wziętość. Jakże temu zaradzić? Jest na wszystko sposób. Oto bezimienny nasz autor powiada, iż od niejakiego czasu, ta sama roślina bardzo się udaje i pokazała się dziwnie skuteczną nad *Donem*; tudzież, że nierzadcy już są na brzegach tej rzeki sławni lekarze, którzy się ze wzmiankowanym specyfikiem umieją należycie obchodzić, używając go bardzo szczęśliwie i zręcznie. Stosownie więc do tego postrzeżenia, następujący ułożyłem plan kuracyi.

Ponieważ wielu chorych naszych wysyłać zwykliśmy po zdrowie do rozmaitych zagranicznych źródeł; więc odtąd do liczby wód bardzo zdrowych i skutecznych należy dodać i wody Dońskie, do którychbym radził odsyłać na przyszłość wszystkich chorych psychicznych, dodając tam każdemu, dla *consilium*, po dwóch lekarzy. A że teraz o innych chorobach psychicznych mówić nie myślę, zostawując to powolniejszemu czasowi, i do samej się tylko *juromanii* ograniczę; radbym, żeby tym chorym w każdym zdesperowanym przypadku, koniecznie nakazać podróż do Donu; a gdyby się opierali, przez miłość bliźniego, gwałtem ich tam zawieść. Potem, dla pełnego *consilium*, dodać im przynajmniej po trzech lub czterech lekarzy. Mędrcy ci,

prawdziwi potomkowie Eskulapiusza, mają nawet poważną jego postać, tojest: brodę dostojną; a specyfik zawsze dla prędkiego ratunku noszą za pasem. Tam tedy, osadziwszy chorego na wyżej opisanej dyecie, życzyłbym nurzać go często w Donie: głowę, jako część ciała najmocniej cierpiącą, ogolić i przynajmniej trzy razy na dzień mocno wodą dońską zlewać; a potem choć raz na tydzień naprz. co piątek dawać, w przytomności całego *consilium*, przez jednego z członków, po 50 dobrych kropel [1]) *specyfiku*: a lubo taka doza mogłaby się niektórym niedoświadczonym i bojaźliwym lekarzom wydawać zbyt mocną; ja atoli ręczam, że żadnemu choremu nie zaszkodzi, i że każdy po kilkomiesięcznej kuracyi w zupełnem zdrowiu i z przedziwnym apetytem odjedzie. Zkąd chorym i krajowi pożytek, wodom mineralnym wieczna sława, a wynalazcy specyfiku niewygasła wdzięczność.

P. S. Na tem się wszakże, kochany czytelniku, rozprawa moja nie kończy. Dla dopełnienia albowiem dzieła i przysługi Prześwietnej publiczności umyśliłem zebrać niektóre szczególne tej choroby przypadki, i historyą ich, ile siły pozwolą, wypracować. A że tak wielkie i ważne przedzięwzięcie siły jednego człowieka przechodzi; zatem wzywam wszystkich uczonych, a o dobro powszechne troskliwych, czytelników moich, lékarzy i nielékarzy, ażeby, jeżeli się im zdarzyło lub zdarzy postrzedz gdzie i uważać podobnych chorych, najdokładniej-

---

[1]) Spodziewam się, że czytelnicy moi są wszyscy ludzie uczeni, a zatem wiedzą, że kropla od kropienia pochodzi.

sze, ile być może, opisanie ich cierpień do redakcyi „Wiadomości Brukowych“ przesyłali. Za co pamięć ich nigdy w historyi sztuki lekarskiej nie wygaśnie.

XI.

Filozoficzny Próżniak Wileński Warszawskiemu Świstkowi zdrowia, spokojnego snu i smacznego apetytu. [1])

Najukochańszy i wielce szacowny kollego!

Co to ma znaczyć, że tak dawno najmniejszej nie dajesz o sobie wiadomości? Czy cię Warszawianie zamęczyli? czy do turmy zaparli? Czy ci jakie wolne towarzystwo gębę zamurowało? jak się

---

[1]) Artykuł ten był najpierw drukowany w Tygodniku Polskim w Nr. 22 z d. 19 maja 1819 r., a potym był przedrukowany w Tygodniku Wileńskim w T. VII w Nr. 141 z d. 30 czerwca v. s. 1819 r. Artykuł rzeczony w wydaniu Balińskiego zawiera sporo błędów, które zostały poprawione według wydania w Tygodniku Wileńskim, jako poprawniejszego, aniżeli pierwodruk w Tygodniku Polskim. W tygodniku Wileńskim znajdujemy obok wspomnianego artykułu następujący przypisek redakcyi:

„Artykuł ten znajduje się już drukowany w Tygodniku Polskim; wiele osób, którym z trudnością przychodzi czytać to pismo, żądało jego przedrukowania: żądaniu temu czynimy zadość, za wiedzą samegoż Filozoficznego Próżniaka Wileńskiego, który, dla sprostowania niektórych pomyłek, popełnionych w Tygodniku Polskim, autografu nam łaskawie użyczyć raczył“. (P. W.).

to u nas nawet kaznodziejom przytrafia. Prawdziwie zgadnąć nię mogę. A przecież, wielki mistrz Mruczajło poruczył ci, ażebyś wszystkie akta akademii smorgońskiej i innych z nią spokrewnionych, ażebyś wszystkie postanowienia Najciemniejszej kapituły, drukiem ogłaszał. A ty śpisz Świstku! Akademia Smorgońska, Pacanowska i kompania, pracują a pracują nad wygaszeniem światła, a rozszerzeniem nocy i najgrubszej ciemności; coraz nowych zaciągają członków; rozdają stopnie, dostojności i ordery; ciebie nawet w Warszawie najokazalszymi urzędnikami swoimi otaczają; ci drukują a drukują; a ty jak zapłacony milczysz. Tyle już było ważnych posiedzeń, tyle promocyj, tyle najciemniejszych postanowień, a publiczność nie wie o niczem. Ja się wprawdzie do cudzych spraw nie mięszam; ale cóż mam robić z kawałkiem świstka, który przypadkiem wpadł w moje ręce. Są to akta smorgońskiego Zakonu; ja ich drukować nie myślę, bo to nie moja rzecz; więc ci, jako twoję własność, odsyłam — a tymczasem bądź zdrów.

w Wilnie d. 15 maja 1819.

Wypis z protokułu Najwyższej Kapituły Zakonu smorgońskiego.

Działo się w Ciemnogrodzie 1 nocy miesiąca gawroniego 1819 roku.

Posiedzenie 105te w przytomności Najciemniejszego Pana; buro-ciemnego liziłapy kanclerza; ministrów i dygnitarzy; tudzież wielkiego koziroga, re-

ktora akademii pacanowskiej i innych arcydostojnych urzędników i członków.

Po przeczytaniu protokułu ostatniej sessyi, Najciemniejszy Pan raczył oświadczyć prawdziwe ukontentowanie niedźwiedzie z tego, iż widzi coraz gorliwsze i bardzo ważne prace, tak niektórych zgromadzeń nazywających się uczonemi, jako i osób prywatnych, piszących i drukujących w górnym zamiarze rozszerzenia ciemności, zabobonu i wszelkiego rodzaju przesądów, które się były tak mocno zachwiały; tudzież osadzenia głupstwa na nieporuszonych zasadach i nieprzystępnych. Po czem Wielki kanclerz zabrał głos, który dla ważności rzeczy wypisujemy co do słowa.

Najciemniejszy Panie. — Pochmurne zgromadzenie całego zakonu stany!

Dotąd mieliśmy słuszne powody cieszenia się z rozlicznych prac i usiłowań członków, pracujących w chwalebnym i arcykorzystnym zamiarze naszym, na całej ziemskiej przestrzeni, gdzie trwa mowa polska. Ale teraz prawdziwie się chełpić możemy, że w samej stolicy królestwa wznosić się zaczynają najsilniejsze filary naszego zakonu. Odzywano się już wprawdzie tu i ówdzie za nami, ale z cicha i nieśmiało, dla szerzącego się coraz bardziej i powszechnie rozsianego światła; ale teraz powstają mężowie, którzy za naszemi zasadami mówić poczynają otwarcie, owszem, którzy mówią tonem nam tylko właściwym, to jest: śmiało, wyniośle, z doskonałą pewnością i okazaniem przeciwnikom pogardy.

Doświadczenie pokazało, Najciemniejszy Panie, iż chcąc skutecznie rozszerzać ciemnotę i przesądy trzeba mówić w imieniu oświecenia i językiem używanym od jego apostołów i przyjaciół, trzeba wszędzie przytaczać obserwacye i doświadczenia; bo któż nam te zbić i obalić potrafi. Nie dość na tem: trzeba przeciwników naszych nazywać nieukami i ludźmi bez doświadczenia, trzeba zawsze mieć na języku logikę, filozofiją, moralność, i chcąc upowszechnić zaćmienie, ciągle mówić o świetle. Najgorliwsi też przyjaciele nasi tego się chwycili środka, takim mówią językiem, takim tchną duchem. Oto, Najciemniejszy Panie, książeczka w niebieski papier oprawna i co miesiąc wychodząca w stolicy, która wprawdzie do nieprzyjaźnych nam tworów należy, ale która pomimo tego sprzyja nam od niechcenia czasami. Widzisz, Najciemniejszy Panie, numer czwarty teraz bieżącego roku, który od 435tej aż do 450tej stronnicy zawiera najulubieńsze, najdroższe i najciekawsze pisemko, jakie tylko gdzie kolwiek i kiedykolwiek z pod prasy przyjaciół naszych wyjść mogło. Umieszczono je w tej książeczce *na poważne żądanie;* a jego nieoszacowanym twórcą jest człowiek zagraniczny *doktór Baba.* Według własnego jego wyznania, wielki ten człowiek 65 już lat dla nas pracuje i zbiera; na siedmiu ćwiartkach nieprzebrane skarby umieścił [1]), a tak wiele obiecał, że jeżeli nam choć połowy dotrzyma, jeżeli te niestrawne płody wycisną się z pod jakiej

---

[1]) Obacz na końcu. *Plura hic habes.*

prasy; autor samym ogromem swoich chorowitych wyrzutów wszystko przywali, przygniecie, zniszczy i zatrze na wieki tak, że nikt więcej przeciwko babom, Antośkom, magnetystom i tylu innym dostojnym przyjaciołom naszym głosu podnieść nie zdoła. Prawdziwie serce się rozpływa z radości, patrząc na doskonałą mądrość tego arcy-kapłana naszego. Nie wiedzieliśmy dotąd, Najciemniejszy Panie, jakie mamy w stolicy bogactwa, jakie silne podpory. Dośćby nam kilkunastu takich, żeby cały kraj w Smorgonie zamienić.

Z tej okazyi nie mogę, Najciemniejszy Panie, zamilczeć, że zagranicznym mędrcom winniśmy na tej ziemi najwięcej. Onito chcąc wiecznie doić tę mleczną krowę naszę, sieją a sieją przesądy i głupstwa; oni, podnoszących się w kraju przyjaciół światła prosto i jednomyślnie ogłaszają za głupców; oni niebezpiecznych albo podkopują w ciemności i poniżają ile mogą, albo gnębią i walą otwarcie, a to dla utrzymania się przy dawnych zyskach i zaszczytach. Dzięki *osobom poważnym;* za ichto pomocą, za ich opieką te przylotne nietoperze i sowy tak wiele i tak łatwo dokazują. Oni to ich sprowadzają, pielęgnują, głaszczą, karmią, odziewają i zdobią. Jest albowiem, Najciemniejszy Panie, na całej Północy powszechny, dawny i nierozerwany związek sów i puszczyków przylotnych; związek poważny; związek dążący do tego, ażeby tu wieczna panowała cichość i sen nieprzerwany, ażeby nikt rodzący się u nas światła nie widział; lub, gdyby się znalazł zuchwalec, któryby je odkrył i śmiał o niem mówić, ażeby go ten dzielny związek na-

tychmiast napadł, oplwał, okrzyczał i zniszczył. Upadłaby wprawdzie cała ta potęga; gdyby jej poważne nie wspierały osoby; gdyby swoich nie poniżały rodaków, i gdyby się nie było wkorzeniło to zdanie powszechne: że kto się rodzi na tej ziemi, oprócz pałasza, do niczego niezdatny. Ale ta gruba mgła, po całym rozciągniona kraju, jest naszem zbawieniem; wszystkie wyziewy przesądu i głupstwa, które się do jej powiększenia i rozszerzenia przyczyniają, są najmilszą dla nas ofiarą, są najsłodszym naszym pokarmem. A któryż wytrysk przegniłego mózgu może pójść w porównanie z nieoszacowaną obroną Babulek. Niestety! doświadczenie pokazało, iż prawdziwie uczeni lekarze nie mało się od dawnego czasu do rozsiania oświaty i zdań dla nas szkodliwych przyczyniali; tak jak oszusty i wszelkiego nazwania szarlatany byli zawsze i są najmocniejszymi obrońcami, najukochańszemi dziećmi naszemi. Wielki doktor *Baba* dał niecofniony, a dotąd niesłychany wyrok: *nascuntur medici* [1]. Czy może być co wyższego, co szczęśliwiej dla nas pomyślanego, co wyrzeczonego wspanialej! — Co za aforyzm! — *Vivat, vivat novus doctor, qui tam bene parlat!*

Tu wszystkie niedźwiadki z ukontentowania mruczeć, błogie pozdrowienie powtarzać i łapy lizać poczęły. Kanclerz zaś tak mówił dalej:

Nie umiałbym, Najciemniejszy Panie, wyliczyć wszystkich naukowych zaszczytów tego drogiego pisma. Ale *Magnificus Pacanoviensis* wziął ten obo-

---

[1]) Zob. Pam. Warsz. N. 4ty. pag. 436.

wiązek na siebie i rozkazał radzie swojej akademickiej ułożyć raport w tej mierze, który złożył w ręce sekretarza.

Tu kanclerz zamilkł, a sekretarz Mysio czytał co następuje:

Tak jest: Najciemniejszy Panie, cała a cała *Antiquissima Pacanoviensis* tego jest zdania, że nie miała medycyna większego koziroga, jak jest *praeclarus Doctor Baba* który *od lat 65 zgłębiając wszystkie medycyny systemata, rozciągłe o tem napisał postrzeżenia* [1]) i obiecuje, z niezmierną pociechą naszą, wylać je na świat. Bo jako *ex ungue cognoscitur leo,* tak z przewybornego pisma na obronę *Babulek* łatwo wnieść można, iż *Dominus Doctor,* jako *medicus natus,* a zatem rodzoniuteńki braciszek natchnionych i nalanych artystów, całą publiczność uraczy skarbem najczystszej smorgońskiej mądrości. Jakoż widać, że w naszym duchu i naszym sposobem te systemata zgłębiał, kiedy się przekonał: iż *Brown* [2]) może być najpewniejszym w medycynie przewodnikiem, oprócz jakichś *waporycznych* [3]), które między stenicznemi błędnie umieścił [4]). Kiedy sam o sobie sapientissi-

---

[1]) Ob. pag. 446.

[2]) Brown — wybitny lekarz angielski w końcu XVIII stulecia; twórca, głośnego swego czasu, systemu lekarskiego. (P. W.).

[3]) Daj mu Boże zdrowie; bo w tym wyrazie od Francuzów wziętym jest prawdziwy smorgoński dowcip.

[4]) Pag. 446. Jeżeli wyraz *waporyczny* ma coś znaczyć? to znaczy to samo, co *histeryczny* albo *spazmodyczny*. Z tego widać, jak doskonale *Browna* czytał i rozumiał,

me, skromnie i chwalebnie powiada, iż *może być arbitrem między lėczącymi płci obojej* [1]). Kiedy ma opisać dwie sławne kuracye swojego kolegi Antośka [2]), i kiedy myśli dać poznać światu i innych podobnej sławy ludzi, jako to *Mitruka* i biczownika *Tatarzyna*. Kiedy ma objawić czy opisać cudowną *wodę Pociejowską i Fönkönpinga* w Sztokolmie. A nadewszystko, kiedy nam ma donieść *o cudach magnetyzmu, boskiego wynalazku* †), *o szóstym waporycznym zmyśle, który przenosi w krainy duchów niewidzialnych i niepojętych* ††), a który swego czasu użytym będzie *jako powszechny środek léczenia wszystkich chorób* — *Vivat* nasz mędrzec! zawołały wszystkie kozy i niedźwiedzie — Ha! ha! ha! — Ot to prawdziwie niesłychana mądrość i nauka! — Precz cała medycyna!— *Verat* kozirόg nad wszystkie kozirogi! — Vivat!

Gdy się ta radośna wrzawa skończyła, sekretarz tak czytał dalej:

Z samego zaś pisma *Domini Doctoris Baba* widać oczywiście: że jak prawdziwie po smorgońsku rozumie wszystkie w medycynie systemata i pisma uczonych: tak po smorgońsku rozumiał i pismo w Wiadomościach Brukowych, które, jako nam

---

twierdząc, że on te choroby do *stenicznych* policzył. Jaka słodka smorgońska mądrość! Oh! niech Pamiętnik dla swojej sławy tak doskonałe pisma drukuje.

[1]) Ob. pag. 446—447.

[2]) ibid.

†) Ob. pag. 443.

††) Autor, jako tęgi smorgonista, zapewne wyda mapy tych krain.

nieprzyjazne, zbija arcy-kozim sposobem; tak po smorgońsku opisał zdarzenie u *Hufelanda* [1]. Bo w tej prześlicznej anekdocie nie tylko *człowieka zapierzonego* [2] (Boże mu odpuść) zrobił niesłychanym dudą, ale samego *Hufelanda* jeszcze większym, nadając mu głęboką swoję mądrość, a to w prześlicznem patologicznem tłumaczeniu chorób *waporycznych*. Na tłumaczenie to powiedzieliby nieprzyjaciele nasi: *risum teneatis amici*; ale my z uszanowaniem schylamy głowy i uszy. Dobrze wszelako i dla nas i dla nieoszacowanego naszego doktora, że *Hufeland* tłumaczenia tego czytać nie będzie. Widzisz tedy, Najciemniejszy Panie, jak są wielkie zasługi w zakonie naszym kochanego obrońcy Babulek; a zatem cała akademija prosi nietylko o przyzwoitą dla niego nagrodę, ale nawet o umieszczenie w najpoważniejszem gronie mędrców swoich.

Na co Najciemniejszy mistrz Mruczajło głową kiwnąć raczył, i przez sekretarza następujący wyrok ogłosić kazał.

„Wszem w obec i każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy, czynimy wiadomo, iż gdy wielki a najukochańszy nasz Doktor Baba, przez pisemko w czwartym numerze Pamiętnika ogłoszone, znakomitą zakonowi naszemu smorgońskiemu i pacanowskiej akademii uczynił przysługę, i przez pisma przyrzeczone jeszcze daleko większe czynić zamyśla; przeto my, przez wzgląd na nieporównane jego talenta i zasługi, stanowimy co następuje.

---

[1] Hufeland — głośny lekarz niemiecki. (P. W.).

[2] Ob. pag. 439 wiersz 22.

Art. 1. Doktór Baba mianuje się komandorem orderu Niedźwiadka i kawalerem pacanowskiej kozy.

Art. 2. Przy akademii naszej pacanowskiej naznaczamy go Dziekanem *facultatis medicae*, podług 3-go punktu artykułu 7-go ustaw tejże akademii.

Art. 3. Członkami tego fakultetu, pod prezydencyą arcy-koziroga *Doktora Baby*, będą: Augustynek, Pawełek, Antosiek nowogrodzki; Antoni zaniemeński, Mitruk i Tatarzyn Biczownik, który razem będzie nauczycielem gimnastyki; tudzież dwanaście bab wyboru samego koziroga prezesa, jako doskonałego znawcy.

Art. 4. Dla znakomitych zasług i drżącej ręki, uwalnia się Koziróg *Baba* od kucia pacanowskiej kozy. Natomiast założy na rynku pacanowskim swój *bakiet Mesmerowski* i nie tylko kozy, ale wszelakie inne bydło rogate i nierogate magnetyzować będzie. A skoro im nada szósty zmysł magnetyczny, leczyć będzie wszelkie a wszelkie choroby. NB. Tylko w naszych zwolennikach, bo by się może na innych te kuracye nie udały.

Art. 5. Co do ozdób zewnętrznych i oznaków godności, nie tylko będzie nosił skórę niedźwiedzią i podług artykułu 5 statutu czapkę wyobrażającą niedźwiedzią głowę, a to bez najmniejszej krzywdy znakomitych jego uszów; ale nadto, jako *Pyronista* [1]), który widział *12-letniego* chłopca czytającego palcami i końcem nosa, a piętami patrzące-

[1]) Zob. pag. 448.

go przez okno, nosić będzie lorynetki na piętach, okulary na wszystkich palcach, a na końcu nosa teleskop. Dla zachowania zaś i nie zapruszenia tego oka, wstrzyma się od zażywania tabaki.

Art. 6. Do tych ozdób, na znak szczególnych względów naszych, przyprawi się *Domino Doctori* czubek na głowie.

Art. 7. Redaktorowi Pamiętnika, za umieszczenie pism tak nam przychylnych, oświadczyć wysokie nasze ukontentowanie. Zapewnić, że za powtórne umieszczenie równie dowcipnego płodu, weźmie order Niedźwiadka, a jeżeli nam ciągle sprzyjać zechce, ma otwarte pole do wszelkich smorgońskich promocyj i zaszczytów. *Podpisano jak zwyczajnie.*

XII.

Próżniacko-filozoficzna podróż po bruku. Dzieło poważne.

Zaczyna się od pochwały [1]).

Cała powszechność autorów, przezacnych kollegów moich, zgodziła się od wieków przynajmniej na to: ażeby każde dzieło od pochwały zaczynać. Te pochwały pospolicie są dwojakie: bo naprzód, jak przekupnie stojący we drzwiach kramów swoich wywołują zalety wszystkiego, co mają na przedaż;

---

[1]) „Wiadomości Brukowe“ Nr. 97 z dn. 12 października 1818 r. str. 161—166. (P. W.).

tak autorowie stanąwszy na czele swoich dzieł, obiecują czytelnikowi to naukę, to dowcip, to rozrywkę, to dla strawności żarty i śmiechy, to nakoniec nieprzebrany skarb arcy-potrzebnych wiadomości, aby tylko zbyli swój towar, który także zawsze jest w najlepszym gatunku, póki go nie przedadzą. Oprócz tego są zaufani w sobie pisarze, którzy występują z dziełem w ręku, ostrzegając nieznacznie: „Oto ja jestem, kupujcie, czytajcie i dziwujcie się“.—Ci nim przystąpią do zalety dzieła, pospolicie całą pierwszą stronnicę zapełniają tytułami, nie opuszczając najmniejszego zaszczytu, i dając przez to znać czytelnikowi, że ma przed sobą dzieło znakomite, które powinien czytać z podziwieniem i najgłębszem uszanowaniem. Takowe tedy poprzednicze pochwały, czyli raczej samochwalstwa, albo są tytułem, albo się nazywają przemową lub wstępem. W drugim rodzaju, autor, obrawszy sobie mecenasa, który podług wszelkich reguł powinien mieć pieniądze, a przynajmniej być hojnym, stawia go przed sobą, jak złotego cielca, któremu bije czołem i pali ofiary, a któremu się ani dosyć wydziwić nie może, ani z nim dostatecznie napieścić. Na całym więc arkuszu, a pod dobry humor i na dwóch, wylicza nieskończone jego zasługi i niezrównane zaszczyty. To go wywodzi od Fabiuszów i Scypionów; to nie uważając, że transfuzya zakazana, leje mu w żyły prawdziwą krew Medyceuszów, Jagiełłów lub Wazów; to go nakoniec równa talentem i mężtwem z Cezarem, cnotą z Katonem, sprawiedliwością z Arystydem. Krótko mówiąc, widzi w nim jasno-gorejącą pochodnią, która blaskiem swoim ćmi i gasi wszystkie,

a wszystkie historyczne światełka; a ten Cezar, Arystyd, Kato jestto JW. starosta, skarbnik, piwniczy, lub podczaszy. Ja, żebym w niczem od chwalebnych, bo powszechnie przyjętych, zwyczajów nie odstąpił, postanowiłem zacząć także od pochwały. Radbym się więc najpierwej sam pochwalił, ale nie śmiem: bo słyszałem nie raz rozmawiających pomiędzy sobą przyjaciół moich, że jestem z przyrodzenia skromny i wstydliwy, a całebym nie rad tak zacnym ludziom fałsz zadał. Nie mogę także chwalić dzieła, któregom jeszcze nie napisał i które czytelnikowi tylko małemi kawałkami wydawać myślę. Nakoniec gdybym się sam chwalił, mogliby rozumieć kolledzy moi, których nadewszystko poważam, że im nieznacznie przymawiam; co mi nigdy nie postało w głowie. Więc pochwalę nie prosto siebie, ale przymiot w sobie najdroższy, przymiot, którym zapewne żadnego pisarza nie obrażę. Nie dla tego, żeby im zbywało na tym talencie, ale że się przez skromność żaden do niego nie przyzna. Chcę mówić o próżniactwie i włóczędze. Są to oddawna moje ulubione zatrudnienia; więc zaraz do ich pochwały przystępuję.

Pochwała prożniactwa i włóczęgi.

Nic nie masz przyjemniejszego, nic właściwszego, dla dobrze urodzonego i przystojnie wychowanego człowieka, nad próżniactwo: zkąd i przysłowie urosło, że chłop stworzony do pracy. Dorozumieć się należy: Pan do odpoczynku. Otóż ja, dzięki Bogu, jestem z tego względu pan nad pany; całą gębą pan; bo od rana do wieczora nic nie robię. Słyszałem, że Włochy zupełnie są mojego zdania i nazywają próżniactwo najwyższą roskoszą,

Il delizioso non farniente. Co pokazuje, że jakkolwiek narody pomiędzy sobą się różnią, prawda jest jedna na całym świecie: Ale naco nam próżniactwa we Włoszech szukać?.... Natura bynajmniej nie upośledziła ani kraju, ani miasta naszego [1]) w tej mierze. Owszem, powiem bez przesady, żebyśmy śmiało i z włoskiemi miastami o pierwszeństwo iść mogli. Byłby to nowy, a cale nie pospolity zawód do chwały. Ale chcąc się puścić w ten zawód, trzeba jakiekolwiek o nim powziąć wyobrażenie. Rozliczne albowiem są i niemal nieprzebrane rodzaje i sposoby próżnowania, które gdyby wszystkie opisać przyszło, mało jest w kraju naszym papieru i papierni; owszem i na wołowych skórach ciężkoby spisać. Zatem ja wyliczać ich w teraźniejszej pochwale nie myślę, która, właściwie mówiąc, nie tak powinna być pochwałą, jak podziwieniem. Bo próżniacy zawsze się dziwą, gdy chwalą. I w rzeczy samej, na jakąż lepszą pochwałę próżniak zdobyć się może? Zadumieć się, ręce założyć i gębę otworzyć; albo wznieść oczy do góry i głową kiwnąć; oto są najwłaściwsze i najnaturalniejsze jego pochwały. Ja wszakże, jako cokolwiek poduczony i nie zawsze drzymiący próżniak, uważam: że, jak każda umiejętność, a mianowicie kunszt każdy ma swoje zasady, swoje niecofnione prawdy i swoje prawidła, tak i próżniactwo jest prawdziwym kunsztem, prawdziwą umiejętnością, która ma swoje wynalazki, swoje prawa, swoje niezawodne prawdy, a tych się uczyć potrzeba, chcąc umieć próżno-

---

[1]) To jest Wilna. (P. W.).

wać, zwłaszcza próżnować rozkosznie. Owszem, jako każda umiejętność, jak tego uczeni ludzie dawno, bynajmniej się nie chwaląc, dowiedli, jest niezgłębiona i całego życia, całego poświęcenia się człowieka wymaga; tak śmiało powiedzieć można, iż nie masz obszerniejszej i mniej wyczerpanej nad naukę próżnowania. Jej można, nie już zwyczajny i krótki nasz wiek, ale Matuzalowe lata poświęcić; nie lada jednego, ale milionów ludzi, a dlatego ta nieskończona nauka, ledwo będzie zaczęta. Cóż dopiero mówić o jej powabach! Poświęcamy się tej niewyczerpanej rozkoszy od urodzenia aż do zgonu, a przecie umieramy niesyci.—I któżby się nią nasycił?—Dziwno mi, jakim sposobem uczeni teraźniejsi, którzy przez gospodarskie widoki najmniejszą odnogę wiadomości ludzkich na liczne dzielą katedry, nie obmyślili dotąd żadnej dla tej wielkiej nauki: widać oczewiści, że albo z tego szanownego kunsztu robią przed pospólstwem tajemnicę, trybem kapłanów egiptskich; albo ciągłemi postrzeżeniami i doświadczeniami zajęci, nie mają czasu pisać i nauczać. Są to w tym względzie prawdziwi empirycy, rodzaj mędrców, który teraz dosyć jest w modzie, a który oddawna poświęconym trybem siebie tylko chwali, mając wszystkich innych za dosyć głupich. Szanując zatem tę uczoną modę, ale troskliwi o postępek i doskonałość umiejętności naszej, wzywamy wszystkich próżniaków nieempiryków, aby nam postrzeżeń swoich udzielali.

Bajali uczeni, że starożytni, mianowicie Egipcyanie i Grecy, bardzo byli biegłymi we wszystkich naukach i kunsztach i nam w tej mierze wzory do

naśladowania zostawili. Przecież nie wiem i nie słyszałem, żeby nam zostawili ważne jakie dzieło o próżniactwie. Owszem, nie trudno się przekonać, że lud ów bałwochwalczy nie dosyć szanował tę cnotę. Bo gdy innym wszystkim, złodziejstwa nie wyjmując, właściwe ponaznaczał bóstwa, posągi i ołtarze stawiał, próżniactwu nie nadał żadnego. Lenistwo albowiem, pomiędzy drobne policzone bóstwa i miane za córkę snu i nocy, bynajmniej nie odpowiada wielkości i ważności rzeczy. Ani nie wyraża jej przyrodzenia: bo próżniactwo (niech to nikogo nie dziwi), niekiedy bardzo jest czynne. Morfeusz także niewart być bogiem próżniactwa; bo sen potrzebny za nic się nie liczy; zbyteczny zaś choć jest próżniactwem, ale nieumiejętnem i źle zrozumianem. Gdyż niedołężni tylko i chorzy mogą w nim znajdować smak i rozkosz; ale uczeni próżniacy gardzą nim i słusznie. Sen albowiem jest właściwie nieczuciem; a zatem rozkoszą być nie może, która zależy od czucia przyjemności najwyższej. Więc czuwając tylko a próżnując, podług wszystkich wytwornego kunsztu prawideł, można, że tak powiem, *żuć* próżniactwo ze smakiem i w niem się rozpływać. I my wprawdzie Palemona [1]) następcy, nie ubóstwiamy próżniactwa jawnie i publicznie, ale tylko w duszyczce. Nie stawiamy mu niby świątyń i ołtarzów; wyrzekamy się go uroczyście,... ale to wszystko żartem... wszystko na oszukanie świata..... Jesteśmy ludźmi, a ludzie zawsze tają co jest naj-

---

[1]) Legendarny bohater litewski, który pierwszy, według podania, założył państwo Litewskie. (P. W.).

milszego ich sercu. Któż się naprzykład popisuje z miłością?.... ze zbiorem pieniędzy?... z projektami ambicyi lub dumy?... Otóż i my ubóstwiamy próżniactwo, ale potajemnie; palimy mu ofiary, ale je innem ozdobnem pokrywamy imieniem. Nasze naprzykład spacerowe ogrody i place, nasze bilardy, kawiarnie, winiarnie, szynki, kasyna i t. p. nie sąż to bożniczki poświęcone próżniactwu? Powiedzmy prawdę: każdy i każda z nas oddaje winny hołd temu bóstwu, ale każdy i każda inaczej; lubo nikt się przyznać do tego bałwochwalstwa nie chce. Wy np. z fajką w ustach, to poważnie po izbie stąpający; to się rozwalający po kanapach i sofach; to w oknie znakomicie leżący próżniacy, komuż palicie tytuniowe kadzidło, jeżeli nie mojemu bóstwu?... Wy cały dzień się przechodzący, albo po godzin kilka odpoczywający na placu lub bulwarze panowie i panicze; kiedy się wyłupionemi oczyma wpatrujecie we wszystkich przechodzących, lub głęboko rozmyślacie nad płynącą Wilią, do kogo się modlicie? Wy po całych dniach w kawiarniach i po bilardach na rozmowie czas trawiący próżniacy, nie jesteścież prawdziwymi ofiarnikami w świątyni ulubionego bożyszcza naszego?... Wy ludzie bez celu, włóczący się dzień cały z domu do domu, wszędzie łowiąc, zbierając i roznosząc nowinki i plotki, wy pilni i pracowici czytelnicy gazet; podług nich urządzający świat politycy; wy dni i wieczory przy kobietach przepędzający starzy trefnisie, wy wymuskani i ustawicznie się przed każdem zwierciadłem muskający gładysze; perfumowane laleczki, wycackane bałwanki... Wy, przykute do stołów i stolików,

wywiędłe, wybladłe, zaziajane i ledwo dyszące kostery... Wy uczeni i głębocy rachmistrze wszystkich podobnych zdarzeń i wypadków bostona, wista, tryktrata, arcabów i szachów.... Wy na wyjście możnych wiecznie w przedpokojach dybiący aspiranci... Wy tuzinami po rozmaitych kancellaryach od rana do wieczora gryzący to pióra, to palce, aplikanci... Przystąpcie do mnie, bracia kochani, niech was wszystkich, jako towarzyszów, uściskam: wszyscyśmy tego samego bractwa, tego samego rzemiosła. I wasbym mógł uściskać panowie wojskowi, zwłaszcza podczas pokoju; i was, przewielebni ojcowie, po nabożeństwie; ale wam dam pokój, nadtoście dla mnie poważni.

Lecz ustąpmy wszyscy, kochani kolledzy moi, uczonym towarzyszom naszym, których talenta świat cały szanuje i ceni wysoko!... Uchylcie głowy... Czy widzicie owych uprzywilejowanych oblubieńców bożyszcza naszego? Patrzcie, jak jeden z nich, napięty jak strona, obiedwie nogi pod sznur na prościuteńkiej ustawił linii... widzicie z jakim wdziękiem jednę w takt czule i wymownie podnosi!... jak ją ładnie spuszcza! i jak lekko cały rozpięty na samych zawisł paluszkach!... Zdaje się, że leci... a tenże drugi na jednej linii, jak na ścianie rozpostarty, trzymający w jednej ręce guzikiem zakończony rożenek, którym do przeciwnika swojego mierzy: kiedy druga na powietrzu, rozciągniona powiewać się zdaje. Patrzajcie: jak się wypina, z jakiem natężeniem prawą nogą tupa! Co to za talent! Jaka zasługa! Wszystko to wszakże jest niczem w porównaniu z głębokim owym artystą, który cudów dokazuje na sznur-

ku; przez stoły i obręcze skacze; na stołku i przy stoliku na linie siada; owszem jak proszony je i pije najsmaczniej, a rzadko kark skręci!... Teraz powiedzcie, proszę, usiłowania tych wielkich ludzi, czy nie są pracą?... a ta praca nie jest próżniactwem? A tak widzicie w doświadczeniu, jak lenistwo i próżniactwo są dwie rzeczy różne! jak można być bardzo pracowitym próżniakiem, bardzo uczonym hultajem... Do tego to cechu mógłbym zapisać i wielu uczonych, gdyby przyszło po akademiach i uniwersytetach pomacać... Ale dajmy już pokój, bobym tej niewyczerpanej materyi nigdy nie skończył... Naco nam szukać kollegów, kiedy nimi napełniony świat cały. Kochajmy się tylko wszyscy, nie wstydźmy się jedni drugich, nie wyrzekajmy się pięknej naszej nauki, a zobaczycie, że nic sile naszej nie wyrówna.

Teraz zaś do ciebie się obracam, płci piękna; przyjmij hołd i uszanowanie moje najgłębsze. Niesprawiedliwie mężczyzni wszystkie talenta i nauki sobie przywłaszczyli. Mniemani uczeni utrzymywali i utrzymują, iż nie jesteś stworzona do umiejętności głębokich, które usilności i mocnej wymagają uwagi... Co też ci bakałarze bredzą!... Nikt najpierwszej i najobszerniejszej ze wszystkich umiejętności, to jest kochanej mojej nauki, lepiej od ciebie nie posiada; owszem, ty tylko jedna znasz czyste i prawdziwe tej umiejętności zasady: bo ty tylko prawdziwie rozkosznie odpoczywać umiesz. Jak też tym nędznym nudziarzom mogło przyjść do głowy, że więcej od ciebie umieją!... Wy więc napuszeni i zaufani w sobie, mędrcy mniemani, przystąpcie do mnie, ja was wywiodę z błędu, pójdźcie ze mną do gotowalni

Temiry... pójdźcie do niej na wieczór lub herbatę... A co? — gdzie wasza nauka?... Ugnijcie, krnąbrni, kolana, schylajcie harde karki i wyznajcie, bluźniercy, żeście zwyciężeni... Czyż całe wasze nudne ślęczenie i niepotrzebne suszenie mózgu, warto jednej filiżanki herbaty, którą wam biała rączka Temiry podaje?... Czy pojmujecie, niedołężne głowy, wieleto ta białość, okrągłość i pulchność rączki, kosztuje starania, zabiegów i nauki?... A tę naukę czy objął z was który? Czy byliście choć w przysionkach tego wielkiego przybytku? Zastanówcie się teraz i pojmijcie, jeżeli możecie, że Temira nie potrzebuje do swojej gotowalni więcej nad trzy godziny... że cztery tylko Nimfy nad przygotowaniem jej ubioru dzień i noc pracują; ...że nie spoczywa w zachwycającem łożu nad godzin dziewięć... że godzinę jest na spacerze, dwie z wizytami, dwie na teatrze, że pięć godzin przyjmuje, bawi się, jé obiad i pije herbatę, a dwie zamknięta, uczenie, na miękkiej odpoczywa sofie. Jakto, powiecie: uczenie? Jak to? oczewiście: bo naukami się bawi, to jest leży z książką w ręku; albo z książką otwartą na obok stojącym stoliku. A ta książka jest romansem, opisaniem podróży w listach, lub nową paryzką operą albo komedyą. A ta książka jest naturalnie francuzka. A na tę książkę... ładnie przewracając karty, Temira kiedy niekiedy od niechcenia spogląda... Od niechcenia: bo co moment ktoś przerwie; bo ten natręt szambelanic, często nie opowiedziawszy się, wpada, i najpiękniejsze kawałki [1]) przerywa!... Ale

---

[1]) Przepraszam: zapomniałem, że powinno być *passaże*.

cóż robić, kiedy się tego natręta pozbyć nie można; kiedy to jest chłopiec dobrze urodzony, dobrego tonu, zawsze wyperfumowany i prześlicznie tańcuje!

Pochwała się kończy doniesieniem.

Ale nie sama Temira posiada rzadki, przyjemnie nic nie robienia, talent, czyli w stylu technicznym: talent bawienia się. Cała jej płeć téj jednéj umiejętności oddana, o niej tylko mówi, robi ciągle doświadczenia i wynajduje bez przerwy coraz nowe narzędzia, coraz nowe bawienia się sposoby. Co za strata dla oświecenia i postępku w gładkości, że tak wiele, tak ważnych i tak dowcipnych wynalazków ginie dla świata. Owóż właśnie ażeby temu zaradzić, ażeby się rzuconej na swoją płeć obelgi na bakałarzach zemścić; Klimena, najczystszym ożywiona duchem, pałając najszlachetniejszą miłością honoru płci swojej, otwiera nowe towarzystwo, które wszystkie postrzeżenia i wynalazki, w pięknej bawienia się sztuce, zbierać, w pamiętniki układać i te, od niechcenia, kiedy niekiedy, ogłaszać myśli. Dotąd zapisują się do towarzystwa tego coraz nowe członki, rozdają urzędy, i stanowią organiczne prawidła. Brakuje tylko sekretarza: bo którażby biała rączka walać się w atramencie chciała? a potem redakcya rzecz tak nudna!... Trzeba więc na to mężczyzny... Przyjmują się wprawdzie i ci do towarzystwa, ale prawa nie wymagają, żeby pisać umieli, jak się to niżej z ogłoszonego kodexu pokaże... Widząc zatem tak piękne i ważne miejsce próżne, przyszło mi na myśl podać się za kandydata; ale za pierwszem wyrzeczeniem szubrawskiego mojego nazwiska, całe zgromadzenie jednogłośnie zawołało

a pfel... Uczona wszakże Klimena, zabrała głos na moję obronę, upewniając, iż mimo nikczemnej figury, i wcale niepoczesnej miny, mam w sztuce bawienia się i odpoczywania niepospolite i wielu członkom już znajome zasługi, tak dalece, że mimo uprzedzenia zdania członków dzielić się zaczęły. Aż do przyszłego więc posiedzenia poruszę wszystkie sprężyny, oddam ranne uszanowanie wszystkim członkom, trochę przy gotowalniach poskaczę, plotek naniosę i plac bez wątpienia otrzymam. Widzisz tedy, czytelniku, jak z tego źródła drogich dla ciebie mogę nazbierać wiadomości! I prawdę mówiąc, robię to jedynie przez przywiązanie do ciebie: bo któżby kazał próżniakowi być sekretarzem i redaktorem bezpłatnym? Wiesz, że my próżniacy o płatne się tylko i dobrze płatne ubiegamy miejsca i od wieków przekonywamy świat cały, że się nam wszystkie wyłącznie należą, jako ludziom w ojczyźnie najzasłużeńszym. A ja z mojej strony zupełnie jestem tego zdania, i poprostu tak trzymam: iż nie masz nad nas słuszniejszych ludzi.

P. S. Przypomniałem sobie wprawdzie, żem miał razem pisać pochwałę włóczęgi, ale ponieważby to na próżniaka było zawiele naraz, więc odkładam to na czas późniejszy. Teraz zaś żem o tobie czytelniku wspomniał, więc do ciebie mowę obracam.

Przemowa do czytelnika.

Wiesz, kochany i najdroższy mój czytelniku, iż nie można i nie godzi się zaczynać żadnego dzieła, bez przemówienia do ciebie. Naturalnie los nasz, biednych autorów, od ciebie zawisł i w twoim jest

ręku zupełnie. Z polityki więc wypada, skarbić naprzód twoje względy; a zatem oddać ci winne uszanowanie i na samym wstępie poumizgać się trochę do ciebie. Chcąc ci się zaś należycie zalecić, wypadałoby te umizgi rozciągnąć przynajmniej na arkuszu; wyliczyć wszystkie twoje zasługi i przymioty, nazywać cię bezprzestannie uczonym, dobrym i łaskawym, a potem i o sobie nie zapomnieć i wytłumaczyć ci kto jestem. Mógłbym się naprzykład młodością i nieudolnością wymawiać: ale ty, jeżeliś surowy, powiesz, że niepotrzebnie piszę. Potem mógłbym ci wytłumaczyć, jak jestem obowiązkami obarczony, jak mam słabe zdrowie i siły zwątlone; a tu mię zewsząd ciągną, rozrywają i czasu do pomyślenia nie dają.—Dziennik sobie... Tygodnik sobie... Szubrawcy nie dają odpoczynku... wszystko pisz a pisz... człowiekby nie wystarczył, gdyby nawet pisał jak Herkules. Przytem mam rozpoczętych kilka dzieł ważnych. Zrobiłem dwie sceny do komedyi; pół ostatniego aktu wielkiej tragedyi; zacząłem całkiem nową operę; nowym i niespodziewanym romansikiem myślę płeć piękną zadziwić, czyli raczej zrobić jej *siurprizę* etc. etc. Wszakże to są ważne bardzo wymówki i w taki odziawszy się płaszczyk, mógłbym jak drudzy bezpiecznie źle pisać. Ale poco mi te wymówki?... Wiesz kochany czytelniku, iż jestem twój uniżony i najpokorniejszy próżniak, iż umyśliłem wprawdzie opisać ci moję po bruku włóczęgę, ale po próżniacku, lubo sposobem nie pospolitym, bo próżniacko-filozoficznym... Otóż i najlepsza przemowa.

Jakto, zawołasz, być może filozofia z próżniac-

twem razem?... Dlaczego nie?... wiesz, jak częstokroć najprzeciwniejsze na pozór rzeczy w istocie, ślicznie się z sobą łączą; a zatem bądź pewien, że największa część filozofów należy do naszego bractwa i gdybym któregokolwiek z nich dopadł, serdeczniebym go uściskał... *Diogenes* na przykład, co w beczce całe życie siedział, to był nasz patryarcha. A że z latarnią człowieka wśród dnia szukał, cóż to innego znaczy, jeżeli nie to, że nie mógł nikogo znaleźć, któryby choć w części do nas nie należał. A owiż filozofowie, co rozprawiali i rozprawiają, to przechodząc się, to siedząc, to drzymiąc, lub ziewając, o rzeczach, których nigdy rozum ludzki zgłębić nie może, nie sążto nasi kolledzy? Otóż, im się głębiej nad rzeczą zastanawiać będziesz, tym się mocniej przekonasz: że próżniactwo jest samą treścią, samym szczytem, i najwyższą doskonałością filozofii; czyli krótko mówiąc, stanowi w niej prawdziwą *transcendentalność*. Zkąd wnoszę, podług całej ścisłości logiki szkólnej, iż będąc duszą filozofii, jest duszą wszystkiego.

Terazże powiedz, czytelniku kochany, jak się w niem nie rozpływać! A że ty, podług świadectwa wszystkich piszących i drukujących dziwnie jesteś przenikliwy i dowcipny; więc w oczach ci czytam, jakeś się już domyślił, że całe opisanie mojej podróży będzie hultajskie; a ponieważ na tem prawdziwa gruntuje się doskonałość i piękność, więc i ty, jak możesz, ziewając czytaj i bądź zdrów, aż do przyszłego zobaczenia się z sobą.

XIII.

Przemowa do Szubrawstwa [5]).

Muszę wam też nakoniec powiedzieć, moi wielce Mościwi Panowie i Bracia, że od początku waszego zgromadzenia i pierwszego pokazania się „Wiadomości Brukowych“, wszystko robicie ni w pięć ni w dziewięć. Skojarzyliście się niby dlatego, żeby pisać i drukować; zebrało się was co niemiara... i cóż robicie? Ledwo raz na tydzień dajecie znak życia, i to znak bardzo słaby. Bo cóż znaczy półarkuszowy świstek? Co mi to za owoc? — gdzieindziej, jeden autor co dzień, jak rzeka wezbrana, ogromne płodami swojemi zalewa arkusze, a koncepta sypie jak z worka. Was ledwo kilkunastu jednę ćwiartkę skleci i urodzi, a i to w bólach; a bóle te trwają cały tydzień; a potem jeszcze często i ćwiartka jest niczem. Wszelako to niech między nami zostanie. Ale gdyby też wam, jak uczonym sąsiadom naszym, z pisania żyć przyszło i chwytać po kilka talarków za arkusz druku... tożby dopiero był post z suchotami!—Czemuż przynajmniej, zapatrując się na piękne wzory krajowe, nie wydajecie waszego pisma na owych obrusach, jakie Ichmość adwokaci nasi wymyślili, a na których zaledwo najdrobniejszym drukiem samę treść głosów swoich mieszczą. Nie raz patrząc na te papierowe obrusy myślałem: wieleto do jednego takiego arkusza gał-

---

[1]) „Wiadomości Brukowe" Nr. 99 z dnia 26 października 1818 r., str. 171—174. (P. W.).

ganów wnidzie! Bo jużci wam tego tłumaczyć nie potrzeba, że papier z gałganów się robi. Miły Boże! jakto każda rzecz ma swój użytek! Widzicie, że i gałgany na coś się zdadzą! Bez nich nie byłoby owych ogromnych głosów, ani pozwów, ani manifestów, ani dekretów. Kancellaryom i pisarkom sądowym byłoby źle. Upadłaby wymowa; drogi dar niebios! A kto wie? możeby i nauki upadły, i uczeniby z głodu wymarli. Nadewszystko, szkodaby było historyi. Ludzieby nie wiedzieli, że się przed dwoma lub trzema tysiącami lat tak oszukiwali, zabijali, rabowali, łupili i okradali, jak teraz; że siebie zawsze mieli za oświeconych, a resztę ludzi za barbarzyńców i t. d. Przecież ta wiadomość jest droga i istotnie potrzebna: bo doświadczenie tylu wieków pokazało; bo wszyscy mądrzy ludzie powiadają: że to jest jedyna dla nas szkoła; że w tej szkole formują się ludzie; a niektórzy bardzo uczeni dowiedli, że bez historyi nicby nie można umieć, nic począć, że nawet szewcom istotnie jest potrzebna. I prawda: dawniejsi ludzie tak sobie nawzajem bóty szyli, jak my teraz. Owszem robimy to coraz lepiej. Bo choć przodkowie nasi byli łepscy, ale my jeszcze lepsi.

A potem, broń Boże, by nie było papieru! w coby się obróciły owe ogromne kancellarye, biura i tym podobne bazgralnie? Cobyśmy chudzi autorowie robili? Na czemby to drukować „Wiadomości brukowe“?... Niech żyje papier!... niech żyją gałgany!... Imto winniśmy, że się tak wydoskonaliła sztuka pisania prędko. Piszemy teraz tak szybko, że nie mamy czasu i myśleć. Gdzieżtu starożyt-

ność może się równać z nami! U dawnych pisano powoli i z wielkim mozołem. Prawda, że są ludzie z niczego niekontenci [1]), którzy powiadają, że właśnie dlatego w ich pismach więcej jest myśli i lepiej oddanych. Ale pytam się: co głodnym autorom do myśli? Ich zarobek i sława rachuje się na arkusze: i kwita. Tymczasem mniejsza o to: bo ja właśnie co innego do was mam mówić.

W. Panowie, Panowie koledzy, nazwaliście pisemko swoje Wiadomościami Brukowemi. Żeby też w niem choć wzmianka o bruku! A przecież to powinien być skład wiadomości zebranych na bruku. Ale wyrodziliście się, moi Panowie; odstąpiliście pierwiastkowego zamiaru; wałęsacie się po całym świecie; wszędzie was pełno, zwłaszcza po jakichś wyspach, których w żadnej jeografii znaleźć nie można. Bo przecież sam widziałem, jak się sędziwi, światli i dostojni ludzie męczyli z okularami na nosach, szukając po mappach waszych wysp: Nipu, Balnibarby i Perorady. Przecież to, Mości Panowie, nie godzi się żartować z ludzi słusznych! Bywacie w Chinach i Japonii; licho was nosi to na łopacie, to na stępie, to na miotle; a na bruku wileńskim ani weź. Za żadne was tam pieniądze nie dostanie. Krótko mówiąc, Panowie kolledzy, nie lepsiście jak drudzy; wszystko lubicie robić oprócz waszej powinności. Otóż ja was chcę koniecznie poprawić

---

[1]) Za ten wyraz najpokorniej przepraszam wszystkich Ichmościów udowolnionych i nieudowolnionych. Niech im Pan Bóg nie pamięta.

i do tej powinności zwrócić; nie nakazem, nie gwałtem, ale przykładem.

Czy ja szalony z wami na łopacie albo na miotle jak czarownik latać, i nie wiedzieć czego po kominach kapotę wycierać, kiedy ja tu na bruku znajduję skarby... Och! skarby nieprzebrane!... Co krok to wynalazek! gdzie się obrócę, to jakieś nowe postrzeżenie, nowa zdobycz! Wierzcie mi, moi Panowie, fraszka Peru i Potozy; nie masz na całej ziemi bogatszej miny nad nasz bruk wileński. A jeszcze, z przeproszeniem W. Panów, jest to mina nietknięta. Do tego, jaka łatwa!... Żadnej nie potrzeba pracy, uważajcie tylko...

Wyprawa pierwsza.

Ja sobie po śniadaniu, czy po obiedzie, a czasem i głodny, dla łatwiejszego toku filozoficznych myśli, nastroiwszy jako tako czub na głowie, i ręce za pas zatkąwszy, wychodzę... i zwolna poważnym postępuję krokiem... Mina mądra; oko jedno cokolwiek przymrużone; spoglądanie z ukosa to w lewo to w prawo, to po drzwiach, to po oknach, daje znać każdemu znającemu się na rzeczy, że idzie krytyk... postrzegacz... Szubrawiec.

Coto za szczęście nosić na sobie jakąś dostojność, mieć u publiczności wziętość, lub być okrzyczanym za coś zawołanego! Ledwom wyszedł na ulicę, zaraz wszyscy zwracają na mnie oczy. Jedni drugich ostrzegają, to mrugnieniem, to syknieniem, to kiwnieniem ręką lub głową i dają znać, że idzie owo rzadkie cudo, ów dziwoląg, którego poważają lub którego się boją.

Robi się jakiś szmer, jakiś ruch na ulicy. Je-

dni zmykają w stronę gdzie mogą; drudzy wbiegają do domów, do których iść nie myśleli; ci przebiegają co prędzej nacisnąwszy czapkę lub kapelusz na oczy; tamci stawają jak wryci, lub przechodzą z spuszczonemi na dół oczyma. Tu sobie coś szepcą do ucha i zatrzymują się nieznaczniej dla lepszego obejrzenia mię naokoło; tam, skorom przeszedł, słyszę, że się z cicha, a czasem do rozpuku śmieją. Tu i ówdzie widzę otwierające się w oknach szybki; widzę... jak przez nie wyłażą to ogromne czuby, to świetne łysiny, to ozdobne peruki, to wymuskane wąsiki, to najeżone pejsaczki, to ładne czepeczki. Czasem widzę wytkniętą nieszpetną główkę, która prosto wlepia we mnie oczy; częściej jednak jakąś minę zakazaną, jakiś dziwoląg, na który spójrzeć bez przeżegnania się nie można. Ciężko nawet pomyśleć bez strachu, jak mię wyłupionemi oczyma pożerać się zdaje, jak mię od stóp do głowy mierzy. W gruncie atoli wszystko mię to łechce i głaszcze po sercu. Widzę, że mam swoje znaczenie. Zdaje mi się, żem człowiek niepospolity. A!... o toż nam tylko w życiu i chodzi.

Są, którzy mi się przechodzącemu nizko kłaniają; inni omijają z uśmiechem, a ten uśmiech wielorakie ma znaczenie. Jest on najczęściej z przekąsem i niekiedy z urąganiem, a czasem i z pogardą. Niektórzy wyraźnie mię łają oczyma... Na ów czas nieraz westchnę i pomyślę... Miły Boże! mają swoje dolegliwości i ludzie sławni: bo albo nie mają pokoju, albo przyjaciół; a najczęściej ani jednego ani drugich.

Ktoby miał wprawne oko, jakąkolwiek znajo-

mość ludzi i bystre pojęcie, łatwoby zgadł i osądził ze sposobu, jakim go spotykają rozmaite snujące się po mieście figury, kto czem jest i co wart w swoim gatunku. O! gdybym ja był Lawaterem, wielebýmto ja w twarzach, które spotykam, wyczytał tajemnic! wiele zgadł skrytych poruszeń serca i umysłu? Ale nie zazdrośćmy mu: bo powiadają, że i on nie bardzo zgadywał... Co... gdybym był botanikiem, albo raczej zoologiem i umiał ich język, wytknąłbym cechy każdego chodzącego po bruku stworzenia, umieszczając je zawsze w przyzwoitym i właściwym rodzaju i gatunku. Przez to nie małąbym zrobił publiczności przysługę: bo ktokolwiekby wyszedł na ulicę, lub nowo przybył do miasta; tedy z moją wileńską zoologią w ręku takby chodził po ulicach, jak po własnym pokoju: natychmiastby wszystko i wszystkich poznał i należycie oznaczył. Jakiżby to dopiero był skarb dla filozoficznych próżniaków, nieoszacowanych kollegów moich! Każdy z nich z księgą w ręku, czy wszedłszy do kawiarni lub winiarni, czy siadłszy na ławeczce pod ratuszem, czy oparłszy się o róg ulicy, widziałby w mojem dziele i siebie i otaczających się bliźnich, jak w zwierciadle. Ale cóż? kiedy Pan Bóg nie dał człowiekowi tego pojęcia i tej nauki! Próżno narzekać na losy! Trzeba zostać czem kto jest i ratować się w swojej niedołężności, jak można. Otoż właśnie i ja się tak ratuje... Poznaję ludzi i oznaczam, co kto zacz? moim własnym, ale szczególnym sposobem, którego nawet opisać nie umiem.

Jest to jakiś szczególny dar niebios, nie wiem

czy instynkt, czy węch, czy jaki zmysł nowy, którym mię przyrodzenie uposażyło, tak jak magnetystów osobliwym owym darem nadziewania materyą magnetyczno-zwierzęcą tych, nad którymi machają rękami i którym psztykają w oczy. Wszakże głębiej się zastanawiając nad rzeczą, rozumiem, że to jest doprawdy szósty zmysł, do magnetycznego, nie śmiejcie się tylko, dosyć podobny. Bo uważajcie proszę. Jak uprzywilejowani jasnowidze wskroś przeglądają ludzkie wnętrzności i co się gdzie w człowieku dzieje, widzą jak na dłoni, patrzą na każdą żyłkę i uważają jak się sprawuje, rozmawiają z każdym nerwem, który im objawia tajemnice dla zmysłów i rozumu niedostępne; a na te wszystkie cuda prosto patrzą przez brzuch, jak przez teleskop na gwiazdy—tak ja, nie brzuchem wprawdzie, ale długiem i cierpliwem wlepieniem oczu, poznaję i zgaduję, co kto wart. Zastanówmy się dalej: bo ważnych postrzeżeń nie wypada puszczać bez uwagi.

Coto za ważny wynalazek ten nieoszacowany magnetyzm!... Od stworzenia świata cały rodzaj ludzki gruby i nieoświecony, oczyma na rzeczy patrzał i głową o nich sądził. I cóż z tego? Oto, jak wiecie, zawsze się mylił, zawsze bredził. Teraz przecie wiemy zkąd błędu początek. Bo któżby się był przed wynalezieniem psztykania w oczy domyślił, że nie oczyma patrzeć, nie zmysłami dochodzić, nie głową sądzić należy; ale brzuchem. Pokazuje się, że on choć długo lekceważony, więcej wart w istocie, jak wszystkie głowy razem: w nim prawdziwej mądrości i nieomylności początek!... Teraz wróćmy do mojego zmysłu.

Nie wiem wprawdzie, na czem istota tego szóstego zmysłu zależy: ale mi się zdaje, iż siedlisko jego nie w głębi brzucha, jak pojęcia magnetystów, ale w zmysłach i w głowie razem. Nim tedy uczeni ten nowy zmysł pojmą i wytłumaczą, czego zapewne nie zaniedbają; ja go tymczasem, za twojem kochany czytelniku pozwoleniem, nazwę *Zmysłem Szubrawskim*. Nie jest on tak bystry, jak magnetyczny, który widzi co się dzieje o sto mil; przegląda brzuchem przez mury i ściany; czyta zapieczętowane listy i zamknięte książki od deski do deski; owszem komponuje traktaty metafizyczne, albo raczej transcedentalnej filozofii. Nie iest tak uczony: bo zmysł magnetyczny widzi w człeku choroby, a to (Miły Boże!) takie same, jakie mamy w szkołach i książkach lekarskich; przepisuje lekarstwa... znowu cuda!... kubek w kubek takie jak nasi doktorowie.

Zkąd się pokazuje, jak jest doskonała tego zmysłu mądrość: bo o chorobach i lekarstwach umie właśnie tyle, ile doktór, do którego przemawia.

Mój zaś zmysł wcale, kochany czytelniku, nie jest tak mądry: bo jak inne zmysły, często się myli, często zawodzi. Ale, nie chwaląc go, czasem dosyć jest przenikliwy; czasem trochę śmieszny: zawsze jednak wygodny. Bo cobyto był za ambaras chcąc np. kogo podług Linneusza determinować: zatrzymać go na ulicy i rachować mu zęby; albo szperać i dochodzić wiele ma żołądków i jakie? śledzić, czy należy do zwierząt ssących lub całkiem pożerających? czy się czołga lub nadskakuje? czy lata pod obłoki lub pełza w błocie i t. p. Kiedy ja za po-

mocą Szubrawskiego zmysłu, nikomu nie zaglądając w zęby, powoli i nieznacznie wszystkiego dochodzę... nie z doskonałą wprawdzie pewnością, która jest wyłączną własnością jasnowidzów, ale z niezłem czasem przybliżeniem do prawdy.

Ale spytasz się może, kochany czytelniku: na czem się ta wyprawa skończy? Gdziem tą razą zaszedł?... Nigdzie, odpowiem: bom zabrnął w próżniacko-filozoficzne uwagi, a tymczasem deszcz lunął i musiałem wrócić do domu.

XIV.

Wyprawa Druga. [1]

Deszcz ustał, a pięknie wypogodzone niebo wzywało znowu próżniaków do przechadzki. Wyszedłem więc na ulicę, a nie zachodząc ni w prawo ni w lewo, mijając wszystkie kawiarnie i winiarnie, o których się tyle pięknych rzeczy w „Wiadomościach Brukowych“ naczytać można, szedłem zwolna prosto pod ratusz. Bruk był spłókany i czysty, a wezbrane rynsztoki szumiały nakształ Alpejskich potoków. Powiadają zaś i piszą powszechnie, że szum wody wprawia w zamyślenie i do snu prowadzi. Co i ja często sprawdzałem na sobie. Zdarzało mi się albowiem, przy spienionych potokach

---

[1]) Wiadomości Brukowe Nr. 102 z d. 16 listopada 1818 r. str. 183—186 (P. W.).

lub mruczących strumieniach mocno zadumać i nic nie myśleć. Co jest gatunkiem próżniackiej rozkoszy, którą jako cale niewinną, najmocniej kollegom swoim zalecam.

Zadumałem się więc i teraz, alem na tem nie najlepiej wyszedł. Chociażem albowiem ten raz zupełnie wystąpił incognito, żeby czasem szubrawską moją miną wszystkich nie oburzyć albo nie straszyć; nie obeszło się wszelako bez przypadku. Bo idąc po mocnym deszczu, szedłem z głowę zwieszoną, zwyczajnie jak zmokły, i wybierałem środkiem ulicy większe i suchsze kamienie. Jakiś Jegomość naprzeciw mnie idący, wielki, jak widać, i ważny człowiek, musiał mieć wyłączny przywilej stąpania po tych kamieniach: bo mię zamyślonego całym ogromem swojej wielkości tak nielitościwie popchnął i uderzył, żem się o włos nie wywrócił. Zdziwiony i nagle obudzony z zamyślenia, a poczęści i rozgniewany o przerwanie pasma moich dumań próżniackich, podniosłem oczy, chcąc napastnika wyłajać. Ale gdym spostrzegł rozdąsaną i groźną jakąś minę, a massę ciała dwa razy większą od mojej ustąpiłem poniewolnie z drogi, bojąc się, żeby mię czasem nie obił. Jakoż dobrzem się domyślił. Bo właściciel ten środka ulicy miał za sobą innych podobnych rycerzy, którzy mu nadciągali na pomoc. Ledwom albowiem kilka kroków postąpił, zaszedł mi w oczy tą samą drogą jakiś panicz, mogący sobie liczyć lat 28, wielki, jak widać, muzyk. Nócił albowiem dość głośno jakąś piosneczkę pod nosem, a prawą ręką z wielkim zamachem w takt psztyczki wybijał. Nauczony już ostrożności z poprzedza-

jącego zdarzenia i bojąc się, żeby który z owych psztyczków na mnie się nie oparł; nie będąc dotego ani znawcą, ani miłośnikiem muzyki, wcześniem ustąpił z drogi. Wszakże to był, widać, dzień feralny: bo uskakując zamaszystemu śpiewakowi, zastąpiłem nie chcący drogę poważnie idącemu Jegomości, który mi się i z miny i z czupryny panem być zdawał; a który pokazując niezmierne zadziwienie, żem mu śmiał drogę zachodzić, stanął poważnie jak wryty i okiem pełném pogardy dwa razy od stóp do głowy mię zmierzył. Przestraszony zatém, wylękniony i niepewny, co począć dalej, machinalném jakiémś poruszeniem ukłoniłem mu się jak najniżej—a jeżeli dobrze pamiętam, pokorny mój układ zdawał się mówić: przepraszam, jak najpokorniéj przepraszam JW. pana. Po czém raz mię jeszcze litościwém okiem zmierzywszy, odwrócić się raczył.

Przyznam się, że te przypadki tak mię zmięszały i zbiły z fantazyi, żem się zupełnie aż pod mur cofnął i niemal przylgnął do niego: kiedy i tu tak mię coś nagle i nielitościwie uderzyło w ramię, żem się potoczył i o włos nie upadł; a stary mój kapelusz prosto wpadł w rynsztok. Obejrzałem się nagle i postrzegłem nad sobą głowę końską z ogromną grzywą do wiechy podobną, która mi szybko twarz zmiotła. Jakiś dostojny Jegomość, wparłszy się w boki, jechał dorożką. Jego woźnica z ogromną nakształt kopuły czapką, gwizdał co miał siły i trzymał oburącz lejce; konie zaś trzy zajęły całą przestrzeń ulicy. Jeden albowiem szedł środkiem prosto na północ, gdzie się i dorożka zmie-

rzać zdawała; kiedy dwa drugie szły zupełnie na bakier i jak na złość, jeden ciągnął prosto na wschód drugi na zachód. Mój zaś kapelusz, co niemało cieszyło rozpartego w dorożce Jegomości, płynął rynsztokiem do Wilii. Żałując więc starego sługi i nie chcąc wystąpić na plac z gołą głową, dałem pokój dalszym postrzeżeniom i puściłem się za nim w pogoń. Jakoż jużem go szczęśliwie doganiał, kiedy wystąpiwszy nagle z bramy poblizkiej barczysta dziéwka, wyrzuciła nań potężny kosz śmieci. Zniknął mi z oczu i rozumiałem, że wśród nieszczęśliwej swojej żeglugi w toniach rynsztokowych pogrążony został, lub że z barłogiem razem do Królewca popłynie. Dobrze jednakże stare niesie przysłowie, że złe zawsze wyjdzie na wierzch. Bo i on byłby może utonął, gdyby był nowy, ale dziurawy i stary wydobył się zwycięzko na wierzch; a ja czém prędzej zań pochwyciwszy cofnąłem się do najbliższej bramy.

I cóż to dziwnego, żem się cofnął? Każda wyprawa ciągnie za sobą rozmaite przypadki i często się na rejteradzie kończy. Otóż i ja po tylu fatalnych zdarzeniach, cofnąłem się szczęśliwie i roztropnie do bramy. Prawda, że nieco z gniewem. Pomyślałem albowiem w pierwszym momencie: Co za fatalność: jakie niegodziwe miasto! wszakto chodzić po ulicach nie można! — Gdym się atoli uspokoił; gdy, zbierając wszelkie w cofaniu korzyści, stanąłem na miejscu bezpieczném z kapeluszem w ręku; gdym się dobrze o mur oparł: pomyślałem cale co innego. Takto łatwe pomyłki! tak w pierwszém

poruszeniu umysłu o niczem, kochany czytelniku, ostatecznie stanowić nie należy.

Przypatrując się albowiem potém, jak wszyscy przechodzący, mieli postać znaczącą; jak każdy przybierał na siebie układ niepospolitej godności i powagi; jak wielu rzucało na mnie okiem podziwienia lub litości, przekonałem się nakoniec: że miasto nasze i pierwsze jest i najszczęśliwsze w świecie: bo z samych zasłużonych, ważnych i dostojnych ludzi złożone. Myślałem daléj, podsuwając się bliżej pod ratusz, a zawsze pod opieką muru, że ci sami zasłużeni ludzie nie chcą służyć bezpłatnie; ale każdy, nie czekając aż się poznają na nim i podług zasługi szanować zaczną, sam nakazuje, sam z góry wybiera hołd winnego sobie uszanowania i szacunku. Szkoda tylko, że największa część, zapłaciwszy sobie z góry, nie ma potém sposobności i czasu pokazania, co umie.

Ale cóż to dziwnego? Wszak los wszystkiem rządzi. Czasem szczęście uprzedza zasługę; daleko częściej z nią się rozmija. Rozum zaś nie każe zapominać o sobie, ale na rachunek przyszłéj zasługi chwytać każdą nawijającą się nagrodę. A jeżeli tenże los nie nastręcza potém sposobności do zasług, to jego wina. — To mi się snuło po głowie, gdym się przecie nakoniec dodrapał do mety, to jest: do pożądanego pod ratuszem placyku.

Nowy widok!—Co za świat! Jaki nacisk ludu! Wszakto się roją jak pszczoły! [1]) Odpocznijmy — siądź na ławie; uważajmy i puśćmy wolne cugle fi-

---

[1]) Choćby się może bez tego obeszło, wszelako ostrzegam czytelnika, że ta wyprawa była wśród lata.

lozoficznym uwagom. Jaki szmer przyjemny! żadna muzyka nie będzie tak słodka, tak powabna, tak harmoniczna w uchu próżniaka! Fraszka romansowe mruczenie strumyków, przy których pasterki (osobliwie nasze) tak słodko nucą i rozpamiętywają piękność natury. Fraszka gwar ptasząt, i śpiewanie słowików, które w romansach tak mocno literatki zachwycają. Fraszka nawet owa muzyka ciał niebieskich, której się do sytości, jak koncertów nasłuchali niektórzy. Tutajto dopiero człowiek bez celu oddycha i żyje, tu znajduje prawdziwą w życiu rozkosz. Bo czy można żyć i bawić się przyjemniej! Tu sobie siedząc z założonemi rękami rozmyślam; gdy tymczasem snuje się przedemną, co tylko jest najpiękniejszego i najwytworniejszego w mieście. Jest to prawdziwy *wyciąg*, jak teraz mówią, i jest to piąta treść, jak mawiano dawniej, całej naszej publiczności. Są to kobietki, które wychodzą dla przechadzki i rozrywki, ale i dla pokazania się razem. Jakoż każda ma się z czem popisać. Ta naprz. pragnie, żeby uważano jej szal, który mąż wczoraj kupił na oblig. Tamta wabi kapeluszem, który przyjaciel świeżo z Warszawy przywiózł. Owa suknią, która przedziwnie na niej leży. Tu kolorowy i kształtny trzewik uderza i zastanawia oko, które się naturalnie musi zatrzymać na nóżce, a ta nóżka jest prawdziwie ładna. Tam białe i śliczne ramię wygląda niby przypadkiem z pod niemniej pięknego szalu. Patrząc na to, nie można się minąć z myślą, że się bardzo sprawiedliwie i mądrze wszyscy ubiegamy za powabami zewnętrznemi, za lada ozdobą, co uderza i zastanawia zmy-

sły. Każdy sądzi o ludziach z tego, co widzi, a któż widzi przymioty wewnętrzne? kiedy zewnątrz lada błyskotka, lada płatek świecący uderza i zwraca na siebie uwagę. Można wprawdzie niekiedy i zasługą dopiąć znaczenia, ale suknią, mundurem, wstążeczką, ładną karetą, kształtnym koczykiem, rozłożystą dorożką i grzywiastemi końmi, a w niedostatku tego wszystkiego choć miną czupurną, prędzej i łatwiej. Dlatego sprawiedliwie pstrzymy się, ile tylko można. Wszak zła porcellana, kształtnie wyrobiona i malowana pięknie, bierze na stolikach pierwszeństwo prawdziwie dobrej. Wszak złe obrazy mają znaczenie przez bogate ramy. Wszak pięknie ozdobione domy zastanawiają przechodniów, choć wewnątrz są puste. O nieoszacowana chęci podobania się i zwracania na siebie uwagi innych! ty jesteś pierwszą i największą podnietą czynności i przedsięwzięć człowieka. Bo począwszy od Alexandra Wielkiego, który się na tysiączne w Azyi narażał przypadki i pragnął, aby go w Atenach chwalono; aby na wszystkich zgromadzeniach i placach publicznych mówiono o nim, aż do naszych dam, które wystawują ładną nóżkę, lub pokazują z pod szala piękne ramie; aż do naszych trefnisiów, którzy wychodzą na plac z wymuskanym wąsikiem i ładnym fraczkiem; wszyscy są tobą natchnieni. Nieraz patrząc na ślicznego Jegomości, który z tegą miną poważnie stąpa po placu, i obojętnością lub pogardą na przechodzących, a z rozkoszą na siebie spogląda, myślę: Mój Boże! jakto często ludzie nie na swojem są miejscu: temu wielkiemu człowiekowi należało być przynajmniej Pompejuszem. A gdyby tak

było; bywaj zdrów panie Cezar! twoje interesa inaczejby były poszły, i tybyś nie był panował Auguście! A z tego jakie wypadki! Wszak doprawdy cały światby był poszedł inaczej.

Ot! jak z małych przyczyn wielkie bywają skutki! Teraz mi się dopiero otwierają oczy, i widząc nareszcie, iż ów Jegomość, który mię o włos na ulicy nie roztrącił; że idący za nim i odznaczający się psztyczkami panicz; że ów JW. pan, który mię miną groźną wyłajał; że jadący w trzy części świata razem i rozpostarty w dorożce Jegomość, starali się o powagę i znaczenie; czyli dawali znać wszystkim przechodzącym i wałęsającym się po ulicach, że są niepospolici ludzie.—Bądźcie więc pozdrowieni, nasi brukowi Pompejusze i Cezary, którzy łatwiuteńko, bez najmniejszego krwi rozlania, bez takich zachodów, jak tamci, umiecie dać poznać całą swoję wielkość. Do tego zatém rodzaju wielkich, zacnych i uszanowania godnych ludzi, musi należeć i ów junak, co zawsze czapkę na jednem uchu nosi, i ów co odchyla umyślnie płaszcza lub surduta, żeby wystawił na publiczny widok kawałek wstążeczki; i ten co się odznacza wielką lorynetką zawieszoną na guziku; i ów co się szasta z okulami na nosie, choć nikt nie słyszał o dziełach, któremiby sobie wzrok zepsuł. Wszystko to jest piękne; wszystko należy szanować: bo wszystko pochodzi z uczciwej emulacyi o znaczenie i wyższość nad innych.

Takem rozmyślał i tak mówił do starego strukczaszego, który siadł obok mnie na ławie, i powitał serdecznem ściśnieniem za rękę. „Dobrze mówisz, odpowiedział na to poczciwy starzec:

wszystkoby to było niczem; możnaby nawet to ubieganie się o znaczenie darować i pochwalić, gdyby było w rzeczach pożytecznych i coś znaczących; a nadewszystko gdyby było bez krzywdy bliźniego.—Ale te młode i stare trzpioty, te wymuskane i nadęte próżniaki, pokazują dla wszystkich pogardę i rozumieją: że z góry lub z ukosa i litościwie spoglądając na innych, lub że ich grubijaństwem zacierając, swojej dowiodą wyższości. Grzeczność i poważanie się wzajemne są duchem dobrych towarzystw; dlatego każdy wywyższający się, z poniżeniem drugich, jest w takich towarzystwach nieprzyjacielem powszechnym i powinien być wyśmiany. Cóż ci się zdaje, mówił dalej; czy rozumiesz, że te puste głowy przestają na tém, żeby ich uważano? Ja ci ręczę, że się każdy ma za coś lepszego od wszystkich innych i gotów się najszacowniejszego i najzasłużeńszego człowieka zapytać: na co on potrzebny? Musisz nieznać naszych towarzystw: bo gdybyś tam uczęszczał, widziałbyś co moment, jak młode i niczem niezajęte trzpioty, jak powszechnie znajome oszusty lub okrzyczane łapigrosze, przybierają znaczącą i poważną postać, decydują o wszystkiém i ogłaszają pracowitych, zasłużonych, uczonych i prawdziwie pożytecznych ludzi, za głupich i na nic nieprzydatnych".

„Cóż im robić? — odpowiedziałem, biorąc za rękę poczciwego starca, świat ten jest nieustającym trybunałem, wszyscy ludzie użyteczni pod sądem, a sędziowie ci Ichmość, których przed nami widzisz. — Jakkolwiek ten sąd błahym ci się zdaje, nie godzi się nim gardzić: bo on stanowi wielką

część publicznego zdania, które wszyscy szanują". „Tymci gorzéj,—zawołał starzec, wzdychając głęboko!" .„Nie najlepiej to wprawdzie, odpowiedziałem dalej, ale nie tak źle jak rozumiesz. Najgorsza nawet rzecz ma często swoję dobrą stronę. Czymżeby był świat, gdybyśmy wszyscy byli jednacy? Sądzimy się więc, potępiamy i bawimy nawzajem, a to nas jakkolwiek zatrudnia i utrzymuje w czynności: wy ludzie pożyteczni macie nas próżniaków za nic, otóż i my wam oddajemy wet za wet, i powiadamy, żeście niepotrzebnym ziemi ciężarem. Dlatego to nic świata nie odmienia, który zawsze idzie swoim trybem, a ty próżno zrzędzisz panie strukczaszy. Lepiéjbyś wskórał, gdybyś się przystosował do nas.—„Nie chcę"—zawołał starzec z gniewem, porywając się z ławy.—„Tymci gorzej—odpowiedziałem, widzisz jak na tém źle wychodzisz; pracowałeś całe życie i starałeś się być prawdziwie użytecznym, i cóż z tego? oto chodzisz w wytartym kontuszu.— „Tymci lepiej — odpowiedział strukczaszy, surowo spoglądając na mnie; a położywszy rękę na piersiach dodał: Tu jest moja nagroda. Nikt mi nic nie zarzuci, a ja kontent jestem z siebie".

To powiedziawszy odszedł, a mnie dał nowy pochop do myślenia. Strukczaszy, mówiłem sam w sobie, jest człowiek poczciwy, spokojny i rozsądny, a spokojność sumienia ma za istotne i jedyne szczęście. Jeżeli tak jest w rzeczy samej, tedy ludzie poczciwi i użyteczni muszą być swego szczęścia pewni: bo sami sobie są nagrodą, a dobra światowe są własnością tych, którzy tej nagrody niewarci. Ta myśl zasmuciła mię nieco, ale nie na

długo: bo spojrzawszy na przechodzących się po placu próżniaków, kollegów moich, czytałem oczewiście w ich twarzach, że wszyscy nieźmiernie byli z siebie kontenci, chociaż żaden nie kładł ręki na piersiach. Zatem i ja, pocieszony zupełnie, włożyłem ręce do kieszeni, podszedłem nieznacznie pod mur i wróciłem czym prędzej do domu.

XV.

Rozdział bez wyprawy. Ból głowy[1].

Dzień był dość piękny i obiecywał bardzo chwalebną wyprawę; ale się obudziłem z mocnym bólem głowy; a przeto rozmyślając, co z sobą począć, wziąłem szlafrok i postanowiłem tego dnia chorować. .Cóż robić? Słyszałem nie raz rozmawiających, że to należy do jakiegoś dobrego tonu, mieć słabe zdrowie i chorować choć raz na tydzień. Mówię, jakiegoś, bo nie będąc muzykiem przyznam się, że nie bardzo wiem, co to znaczy.. Myślałem tylko, jak też chorując dzień przepędzić przyjemnie. —Takowy zamiar zapewneby niejednego zmieszał lub zadziwił; ale my uczeni próżniacy mamy tysiąc sposobów ratowania się w takiém zdarzeniu, i mamy tę nieocenioną korzyść: że zatrudnionym i pracowitym może niekiedy roboty zabraknąć, nam próżnowania nigdy. Doskonały próżniak rzemiosło swoje

---

[1]) „Wiadomości Brukowe" Nr 105, z d. 7 grudnia 1818 r. str. 195—198. *(P. W.)*.

zawsze nowemi wzbogaca wynalazkami, i odkopuje tysiąc a tysiąc źródeł coraz innego ukontentowania, owszem coraz innej roboty.

Niedługo więc myśląc, otworzyłem okno na ulicę, a położywszy się na niem, zacząłem przechodzących rachować.—Znajomi moi, po większej części przyjaciele i koledzy, widząc jak poważnie odpoczywam w oknie, zaczęli do mnie wstępować; a to jedynie dla pomocy w tak słodkiém próżnowania dziele.

— Co ci jest?—zawołał, wchodząc Walenty;— pierwszy raz cię widzę w szlafroku.

— Głowa mię boli.

— A to zkąd? musisz mieć hemorroidy—dodał troskliwy przyjaciel;—nie trzeba tak siedzieć; pójdź ze mną do Hrybiszek, dziś tam wszyscy jadą.

— Ja wiém, co to jest—odezwał się Ignacy;— chodziłeś wczoraj po deszczu i musiałeś nogi zamoczyć. Weź kąpiel, to ci to przejdzie.

— Nie—przerwał mu Antoni; — on musi mieć zamulony żołądek; weź na przeczyszczenie.

— To katar—rzekł Hippolit — ja miałem onegdaj taki sam ból głowy. Pójdź, wypijem po szklance ponczu.

— Imaginacya!... — odezwał się Mikołaj — ja wiem, że te ranne bóle głowy pochodzą z czczości żołądka. Dobrzeby pójść gdzie na śniadanie.

— Bóg wam zapłać—odpowiedziałem—ale postanowiłem nigdzie nie wychodzić, dopóki mię ten ból nie opuści.

Zostałem więc znowu sam jeden i mogłem wpatrywać się bez przeszkody w twarze przecho-

dzących pod oknem. Snuły się nieprzerwanie czarne płaszcze i stukały po bruku patynki. Kiedy niekiedy pokazał się frak, kapota lub kontusz, ale bardzo rzadko.—*Rari nantes in gurgite vasto.*—Uwijały się jednokonne dorożki, kierowane niemal zawsze przez żydów, którzy wrzeszcząc bez litości; kazali piechocie ustępować z drogi, a często i potrącali z przekąsem.—Między nimi postrzegłem młodego, *niby grafa*, jadącego remizą. Rozczochrany siedział w karecie spokojnie, z głową spuszczoną na kwintę. Pijany stangret ledwo się zatrzymał na koźle, a lokaj spał za karetą. Domyśliłem się z samej postaci ekwipażu, że hrabiątko musiało całą noc grać w karty; a tragiczna postawa samego pana przekonała mię, że się zgrał do szeląga. Otóż panicz, pomyślałem sobie, na bitym gościńcu do exdywizyi; a sądząc po całem ujęciu, zdaje się, że tam wkrótce zajedzie. — W tem porwał się hrabia, przetarł oczy, postrzegł mię w oknie i pociągnął za sznurek. Niestety! nadaremnie, bo przezacny woźnica głębokiem był zdjęty nieczuciem. Szarpnął więc jeszcze mocniej i sznurek się urwał, kuczera to wszelako nic nie poruszyło; w rozpaczy odwrócił się i począł wołać na lokaja, który się jak na złość obudził, zatrzymał karetę i panicza wysadził, a ten uśmiechnąwszy się do mnie miluchno do okna, piorunem pobiegł po schodach. Wpadał do izby i tak się rzucił na mnie, żem rozumiał, iż mię rozbije, a ścisnął tak serdecznie, żem ledwo Bogu ducha nie oddał. Byłbym wołał gwałtu, gdyby mi był kochany hrabia pozwolił; ale nie było czasu, tak mię rzęsisto ściskał i całował. „Jak się masz? — wrza-

snął, kochany przyjacielu; daruj, że dotąd u ciebie nie byłem... ale nie uwierzysz jak jestem zatrudniony; przyjechałem do miasta dla interesów i nie mam momentu pokoju. Wiesz, żem objął znaczny majątek; a to ambaras... tu procedera... tu interesa w rządzie.... Prawdziwie bieda z majątkiem... *A propos,* czy wiesz mój przypadek? wszakto mi na samym wjeździe do miasta tłomok oderznięto! — Co to za głupcy ci nasi ludzie! Jeszcze, proszę cię, w tłomoku miałem wszystkie moje pieniądze, i teraz jestem bez grosza. — Posłałem ja wprawdzie natychmiast do domu po sukurs, i jutro, a najdalej pojutrze spodziewam się mojego offcjalisty; a tymczasem ambaras!—Czy nie możesz mi dać na parę dni dwuchset czerwonych złotych? Prawdę mówiąc, mnieby każdy dał; ale ja nigdybym o to nikogo nie prosił, i robię to, kochany przyjacielu, jedynie dla ciebie. (Tu nuż mię znowu ściskać!) — Bo czemu też kiedy do mnie nie przyjedziesz na wieś? *Venez, mon cher,* zobaczysz, jak się będziemy bawili".

Zdziwiła mię niezmiernie ta poufała przyjaźń hrabiego, którego raz tylko na obiedzie, drugi raz na teatrze widziałem. Prawdziwie nie wiedziałem jak mu podziękować; bo zapłacić za to dwieście czerwonych złotych, zdawało mi się na szubrawca zawiele; a hrabia innego podziękowania nie żądał. Przeprosiłem go jednakże jak najgrzeczniej, przekładając i moję niemożność i potrzeby. Zamilkł... oczy we mnie na minutę wlepił... potem kiwnął głową, wziął za kapelusz i wyszedł. Nie było ten raz ani serdecznych oświadczeń, ani pocałowań, ani ściskania; a ja odetchnąłem przecię cokolwiek i znowum

siadł w oknie. W tem otworzyły się drzwi, i wszedł lokaj starościny.

— Co tam powiesz Michale?

— Pani moja dowiedziała się, że Pan chory na głowę i przysyła ocet czterech złodziejów.

— Bóg ci zapłać; powiedz, że bardzo twojej pani dziękuję, ale już jestem zdrowszy.

Ledwo Michał odszedł, gdy wszedł posłaniec hrabiny z flaszką kolońskiej wódki w ręku.

— Pani moja słyszała—rzecze—że Pan ma migrenę — otóż przysyła świeżej i bardzo przedniej wódki kolońskiej, którą tylko co dostała z Warszawy.

— Jaka twoja pani dobra! Powiedz, że jej sam podziękuję, bo już jestem zdrowszy i wkrótce wyjść myślę.

W kilka minut potém nadszedł inny posłaniec, który mi przyniósł prawdziwego, jak twierdził, balsamu z Mekki, dla przyłożenia na skronie. Inny ofiarował plaster *Schieffenhauza,* robiony wiernie podług najprawdziwszego przepisu. Przebóg, co tu doktorów!... drzwi się nie zamykają przed nimi. — Marcinie — zawołałem w niecierpliwości, zamknij drzwi! owszem, zawal, zamuruj, jeżeli można; wszakto się schować od doktorów nie mogę! — Sam zaś zamknąłem co prędzej okno, i siadłem rozmyślać na łóżku.

Co to znaczy? i zkąd to pochodzi, że tak jesteśmy skwapliwi do leczenia drugich? że się każdemu ofiarujemy z pomocą, i że każdy z nas rozumie, że w rzeczy samej radzić coś może. Chcieć wprawdzie ratować cierpiących, jest rzeczą bardzo

chwalebną, jest znakiem czułości i dobrego serca. Dlatego nie dziw, jeżeli kobiety tak się chorym chętnie i łatwo nastręczają do pomocy. Ale zkąd im ten dar, że się powszechnie i znają na chorobach i umieją je leczyć? zkąd nam wszystkim taka umiejętność? Nie można inaczej rozumieć, tylko że bez nauki jest to prawdziwy dar przyrodzenia; jest umiejętność, z którą się rodzimy, jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej niektórzy. A zatem, że ci, którzy się tego kunsztu uczą, niepotrzebnie sobie głowy mozolą. Niechże więc wybaczą owi Ichmość co w medycynę nie wierzą. Czyż nie widzą oczeście, że będąc darem nieba musi być rzeczą nieomylną, że jest prawdziwym przywilejem, zwłaszcza kochanych naszych babulek, które się i na chorobach i na ziołach doskonale znają; znają jakąś wrodzoną władzą, jakimś instynktem, jakiemś czuciem osobnem, któreby nie źle babskim zmysłem nazwać można. Nasi zabobonni przodkowie miewali podobne nadprzyrodzone przymioty za natchnienie złego ducha, i pospolicie tak uczone babki pławili. My, jako ludzie daleko oświeceńsi, nie wierzymy w czary, ale za doktorów bez mózgu i nauki bićbyśmy się gotowi. Złośliwy jaki człowiek mógłby powiedzieć, że całe nasze oświecenie na tem się kończy, że nie w kontuszach chodzimy i że nie golimy głów, choćby nam to dosyć przystało; mógłby powiedzieć, żeśmy porzucili strój przodków naszych razem z ich cnotami i rozsądkiem. Ale któryżby oświecony człowiek uważał na podobne brednie dziwaków! wszak prawdziwe oświecenie na tem zależy, żeby na nic nie uważać i o gadania nie dbać. A potem, obdarzeni

bystrym babskim zmysłem lepiej to znają; bo, jużci ten szczęśliwy zmysł nie tylko babom służy, jak się może sam, kochany czytelniku, domyślisz, ale służy i wielu pół-mędrkom, owszem i całym mędrkom niektórym. Naturalnie, czyż wszystkie, czytelniku uczony, chodzą w spodnicach? wszak są baby i w kapotach i we frakach. Dlatego też tak wiele doktorów; dlatego spotkać się z nikim na ulicy nie można, żeby cię natychmiast nie zapytał o zdrowie; a jeżeli się, broń Boże, na co poskarżysz, żeby ci w tym momencie nie powiedział, jaka jest twoja choroba i co masz na nią robić.

Ta praktyka lekarska tak się u nas doskonali i coraz bardziej krzewi, że się spodziewać należy, iż przyjdzie do tego, że się za spotkaniem na ulicy za puls brać i języki sobie nawzajem pokazywać będziemy. Naówczas trzeba się będzie wszystkim opatrzyć w ładne szlifowanym kurkiem zatykane flaszeczki, w których każdemu ciekawemu przyjacielowi pokażemy na oko, jak się nasza krew czyści. Wtenczas to nasze oświecenie i polor do najwyższego dójdą stopnia! tak że inne narody barbarzyńskiemi względem nas będą. Ten zaś niesłychany blask i polor, to światło niezmierne, ta powszechna doskonałość i mądrość, nie będą nabyte, nie zapracowane, jak gdzieindziej; ale rodowitym przywilejem nadane, z przyrodzenia w nas wlane, we krwi naszej płynące i z nią spływające na świetnych naszych potomków. Krótko mówiąc, weźmiemy z rąk samej natury biret doktorski. Naówczas inne europejskie ludy nazywać nas będą narodem lekarskim; tak, jak my je nazywamy kupieckiemi,

rzemieślniczemi, rólniczemi lub wojennemi narodami.

Otóż mi się takie dziwactwa snuły po głowie. Ale ty czytelniku nie rozumiéj, że to są same przywidzenia. Jest w tém wielka część prawdy: bo wszystko, co się u nas dzieje, mówi za tém najmocniej. Posłuchaj tylko, a sam się przekonasz.

Rok temu przeszło, zjawił się był w nowogrodzkim powiecie wielki doktór, pastuch Antosiek (†), któremu się zioła, na chorobę jaką przydatne, nizko aż do saméj ziemi kłaniały, do którego roje chorych i mających się za chorych ze wszystkich części Litwy płynęły [1]), którego dowcipny wizerunek zapewnieś miał szczęście oglądać w fijoletowym pamiętniku; a o którym uczeni nasi (NB. nie pospolici, ale także natchnieni) pełno doskonale mądrych rzeczy pisali [2]). Otóż musisz wiedzieć, że ci fijoletowi mędrcy dowiedli i pokazali jak na dłoni, że Antosiek wskróś człowieka przeglądał, i jak my na przechodzących przez okno, tak on patrzał przez skórę, mięsa i kości na wątrobę, nerki, śledzionę, mozg i serce; że zatem widział doskonale, co się gdzie w człeku dzieje? co słychać w kiszkach, a co w głowie? Powiadają nawet, że ile razy na głowę, albo raczej mózg swoich pacyentów oczy obrócił, wstrzy-

---

(†) Głośny znachor na Litwie. *(P. W.)*.

[1]) Ludzie przekonani o wielkiéj władzy pastuszka powiadali, że nosił na sobie plamę. Teraz zaś słychać, że ją noszą ci, co mu leczyć kazali.

[2]) Obacz Pamiętnika Warszawskiego na rok 1816 miesiąc listopad pag. 355—563.

mać się nie mógł od śmiechu, i aż się kładł na ziemię, tak tam coś pociesznego widział. Wiesz zapewne, światły czytelniku, i to, że ten natchniony człowiek dawał chorym swoim w gorzałce skrobaną ławkę, na której sam siadał i sypiał, i że to dziwnie pomagało na kołtun w głowie.

Uważże teraz, że w tym roku zjawił się drugi natchniony doktór, od tamtego jeszcze większy; to jest chłop Antoni za Niemnem. Ten zaś tém od Antośka jest wyższy, że tamten tylko był natchniony; a ten i nalany razem: lubi się albowiem, dla tym lepszego konceptu, miódkiem i wódką nalewać. Otóż i ten wielki człowiek o nic się chorych swoich nie pyta: bo sam w nich wszystko *widzi, jak w szklance* [1]) i wszystkim każe głowę burym grochem okładać. Dostrzegł albowiem (bo widzi jak w szklance), że to jest pospolicie część słaba; i wie, że w chłopskich potrawach groch się do kapusty dodaje.

Wiedzże tedy, że ci natchnieni i nalani artyści twierdzą: że dwónastu jeszcze u nas będzie takich Antośków, a mędrzec zaniemeński donosi, iż za Ostrą-Bramą pokażą się wkrótce dwie siostry, które także wszystkich i na wszystko leczyć będą. Jeżeliż tedy z jednego Antośka wyrodzi się ich dwósnastu, a z Antoniego nadto dwie baby; wieleżto dopiero z nich wszystkich razem wyrodzić się musi. Zatém, gdy się to drzewo rodzajowe Antośków zupełnie rozkrzewi, ani wątpić można, że przyjdzie czas,

---

1) Jest to jego naukowy wyraz.

w którym od Ostrego-końca (siedliska dwuch bab obiecanych) aż na koniec Wierszubki, powyrastają Antośki, jak grzyby, i stąpić bez nadeptania niepojętego doktora nie będzie można. —Wtenczasto wybaczcie choroby wszystkie a wszystkie; żadna się więcēj w Litwie nie ostoi; ród nasz nieśmiertelnym zostanie; upadną wspaniałe kondukta; oschnie z podzwonnego intrata, a my, bez mozolu, bez uczenia się—bo tego, prawdę mówiąc, nie lubimy — co do jednego doktorami będziemy. Wtenczas... co za piękna przyszłość!!... cała Europa, owszem cały świat chory do nas wędrować będzie; a my... nuż im głowy okładać, to grochem, to kapustą, to ciemierzycą, to botwinką i t. d. i t. d. Oh! jakażto niezrównana chwała! jakie korzyści. Wtenczasto sprawiedliwie powiemy: *vivat* Antosiek; *vivat* pan Antoni; *vivant* Ostrobramskie baby i kompanija"!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

SPIS RZECZY.

Str.